TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

No. 47 — Nowy Jork, 21 listopada, 1943 — New York, 21, N. Y., November 21, 1943 — Cena 10 ct.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

GARŚĆ WODY

(OPOWIADANIE*)

Był czas, kiedy ostatni wysunięty na zachód zakątek Europy stał się ostatniem na kontynencie schronieniem tysięcy ludzi uchodzących przed zagładą niemiecką. W lecie 1940 roku, gdy padła Francja, przytułek ten powstał w Lizbonie.

Zjeżdżały tam tłumy ze wszystkich stron i zapewne nie przerywałyby podróży, gdyby nie była to końcowa stacja kolejowa, z której pociągi nie szły już dalej. W pogodnym klimacie majolikowej niebiesko-żółtej stolicy mało kto szukał wytchnienia i zasiadał śród jej palm i tamaryszków spokojny. Przytułek był przymusowy a wyjazd z jego bram należał do najtrudniejszych przedsięwzięć.

Wszystkie starania i plany a dla niektórych całe życie zależało od magicznego zaklęcia, słowa-widma i słowa-snu: od wizy. W owym czasie rzeczy się tak ułożyły, że tylko jeden kraj udzielał pozwolenia na wjazd do swoich granic bez zakulisowych protekcji i szczególnego poparcia, mianowicie Brazylja.

Pojechaliśmy więc do Brazylji. Była to podróż nietylko na inną część kuli ziemskiej ale i wgłąb życia niedającego się przewidzieć. Jak tylekroć w tej epoce miażdżącej wszystko nagle i nieodwołalnie, ocknęliśmy się znowu w obcym, niespodziewanym świecie, w którym sami sobie wydawaliśmy się inni i niezrozumiali.

Czarodziejska kolorowość tego kraju urzekała najbardziej nieczułe oko. Godzinami można było patrzeć na złotopiaszczyste brzegi morskie, popielate skały wylęgłe z wody, rzekłbyś, widziadlane rzeźby z dna oceanu, na zieloną zatokę i wyspy naprzeciw Rio de Janeiro zmienne w barwach o każdej porze dnia i wieczoru. Samo miasto, rozpostarte u podnóża gór, mogło się wydawać także z fantastycznego przywidzenia, zwłaszcza o zmierzchu, gdy oglądane z wysokości mieszało światło uchodzącego dnia ze światłem lamp, niby zalewane wiadrami rozbryzganych opalów i brylantów. Tuż za stolicą kraj zmieniał się w wielki ogród botaniczny, tem dziwniejszy że hypnotyzująca flora była bez zapachu a powietrze nasycała tylko woń spalonych słońcem ziół i krzewów.

Życie duchowe, spokój i beztroska, oddalenie od wojny i tego co niosła z sobą, wydawało się również nie do pojęcia. Gorycz i rozpacz należały do uczuć wycofanych z obiegu, zagubione ich echo tłukło się jakby w dalekich, nieuczęszczanych zaułkach. Od przyjaznych i serdecznych tubylców oddalała nas odmienność losu, tajemnicza przegroda, która pozwalała nam żyć własnemi troskami śród otoczenia także zajętego sobą.

Było w tem coś z halucynacji czy podwójnego widzenia świata. Niektórzy sądzili, że oddalenie to pozwala nam oswobodzić się z udręki rzeczywistości i zbliżyć się do wysublimowanej, istotnej treści naszego czasu, losu, Polski. Zdawało się im, że teraz łatwiej trafić do sedna spraw, do tego co jest w naszym narodzie z ponad wstrząsów, katastrof i rozdarcia, co było i będzie w nim nieprzemijające.

Jakkolwiek określać nasze fanatyczne życie w tym kraju, czy podniecało nas wizyjną narkozą czy wiało zwykłem uśpieniem, czuliśmy się niby w rozdwojeniu rzeczywistości, powtarzającem się na każdym nowym postoju naszej wędrówki. Z życia pozostawała przeszłość i przyszłość, pierwsza bolesna, druga niewiadoma. Czas teraźniejszy pływał bez śladu.

Nie wiem jakim przeobrażeniom uległyby moje przeżycia, gdyby nie pewne spotkanie, które z tych nieco mrocznych wysokości strąciło mnie w sam środek rozjątrzonej rany polskiej.

Poznałem w Rio uczestnika walk na Helu, komandora Ł. Przez dłuższy czas nie wiedziałem nawet, że był on wojskowym, znajomość nasza nie wychodziła poza zdawkowość. Spokojny i małomówny pan, o pięknych arcypolskich rysach, po których możnaby poznać jego pochodzenie śród tysiąca ludzi, miał w sobie pewną powściągliwość i nie kwapił się do zażyłości z nikim. Zbliżyliśmy się dzięki błahemu przypadkowi.

Zdarzyło się, że do Rio de Janeiro przypłynęły dwa okręty angielskie. Brazylja nie była jeszcze w wojnie i flagi z pod ostrzelanego nieba, rozwinięte w zatoce Guanabarra, wydawały się wówczas znakiem z innego świata.

Jeździliśmy często do portu oglądać przybyszów. Były to frachtowce, stały na redzie w sporej odległości od brzegu. We dnie żaden szczególny ruch przy burcie nie odróżniał ich od reszty statków, wieczorem mrugały na siebie światłami wedle morskiego nałogu. A jednak powiewające w dali flagi miały w sobie coś przykuwającego. Złączone były z niemi nasze losy.

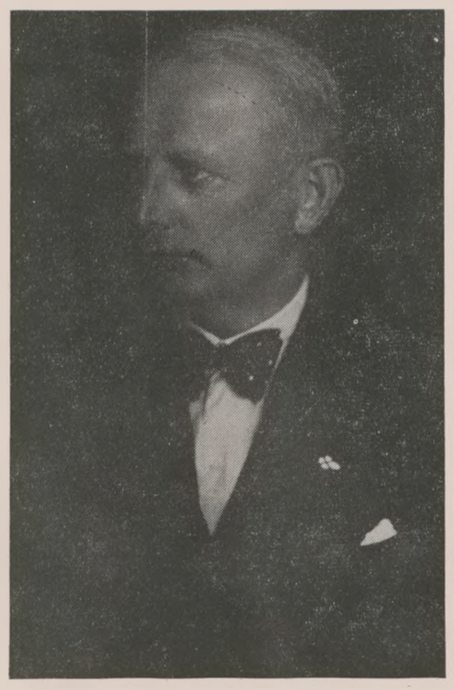
W porcie spotykałem komandora, który tak jak ja, zjawiał się tam za popędem sojuszniczego serca. Wspomniał mi wówczas że służył w marynarce, poczułem się więc przez tego człowieka morza jakby lepiej wprowadzony w sprawy przybyłych. acz dla obu nas stanowiły one jednakowo tajemnicę.

Pewnego dnia okręty zniknęły. Odjechały prawdopodobnie nocą. Dopiero wtedy poczuliśmy pewien ubytek.

— Pusto — powiedział komandor, choć zatoka szumiała wesołym zgiełkiem morskim.

Staliśmy dłuższą chwilę przy kamiennej nadwodnej barjerze, jakgdyby wciąż jeszcze zaskoczeni. Nie było komu ofiarować niemego sojuszu. Wracaliśmy z portu powoli. Pachniało wodnym mułem. Na ścianach miasta grzało się żółte złoto. Mój wstrzemięźliwy znajomy ciągnął po drodze:

— Dziwne uczucie, tak nagle odjechali. Nieprzymierzając, jak kiedyś nasi na Helu. Nikt nie wiedział dokąd. Potem okazało się, że do Anglji. Odpłynęli na dwa dni przed wojną, bo nie było dla nich szans wobec przewagi Niemców. Rozkazy otrzymali w zapieczętowanych kopertach, o celu podróży dowiedzieli się na morzu. Pierwszego września, gdy u nas zaczęła się wojna, oni przybili do brzegów brytyjskich. Niedługo potem zaczęli służbę w ramach marynarki królewskiej. Najmniejsza flota wspomogła największą. Niewiele tego było, ale zawsze. Trzy kontrtorpedowce "Burza", "Błyskawica" i "Grom". Odjechali wtedy tak nagle, jak dzisiaj ci nieznajomi. Good luck!



Admirał Unrug, dowódca obrony Helu

Odtąd spotykaliśmy się z komandorem częściej. Ciągnęła nas zawsze woda. Jeździliśmy nad zatokę, w okolice skąd ocean odsłaniał swoje bezbrzeża lub do dzielnic marynarskich, o których Ł. się wyraził, że choć stoją na lądzie, życie ich płynie na morzu.

— Niech pan spojrzy — mawiał często — ile tego morza! Chyba wycyganione od Boga. A u nas właściwie nie było po czem pływać.

Nie myliłem się sądząc, że ten jego podziw idzie w parze z zazdrością zawodowca. Komandor okazał się fanatykiem morza, jak wielu Polaków, którzy z lądu przeszli na deski pływających pokładów. Znał każdy milimetr naszego wybrzeża i całą historję przebudowy tych piaszczystych i torfiastych nieużytków na porty, miasta i letnie kolonje. Znał marynarkę, wojenną i handlową, jej szkolenie i podróże, sam był przez pewien czas dowódcą jednej z naszych łodzi podwodnych. A nadewszystko znał dzieje naszego września na wybrzeżu.

Garnąłem się chętnie do rozmów z Ł., przychodziłem do niego specjalnie na te wyprawy w głąb wspomnień. Wkońcu doszło do tego, że podróżowaliśmy swobodnie nad bezmiarami oceanów do naszych własnych wód i wybrzeży, zapewne nieznanych tu nawet z nazwy.

Bo istotnie ze wszystkich mórz na świecie, najmniejsze było chyba morze polskie. Przelewało się na przestrzeni, która stanowiła tylko dwa procent naszych granic. Niektórzy nazywali je sadzawką, a nawet akwarjum.

Ta garść wody podana 35 miljonom ludzi, zamieszkujących ziemie polskie, stała się nietylko ich orzeźwieniem ale i warunkiem życia. Przez nieznaczną szczelinę przeciskało się w świat przeszło trzy czwarte naszego wywozu, na mikroskopijnym wybrzeżu wyrósł największy port Bałtyku, Gdynia.

O najmniejsze na świecie morze potoczyły się z wybuchem wojny najbardziej zacięte walki.

W Gdańsku było polska poczta. W budynku jej zamknęło się kilkunastu urzędników i studentów i broniło się przez cztery dni przeciw niemieckiej piechocie i saperom. Obrońcy schodzili powoli z piętra na piętro, aż zeszli do piwnic, i dopiero tam przydusił ich wróg nie do przezwyciężenia — ogień zapalonego domu.

Obok Gdańska był mały cypel nadmorski, zwany Westerplatte, gdzie znajdował się plac przeładunkowy, wydzierżawiony Polsce przez Wolne Miasto. Westerplatte miała jeden kilometr kwadratowy przestrzeni. Zamknęło się tam 165 żołnierzy z trzema oficerami i broniło się przez siedem dni. Niemcy przypuścili na Westerplatte dwanaście ataków ale nie zdobyli tego kilometra polskiego w szturmie. Dostał się w ich ręce dopiero wówczas, gdy pięćdziesięciu, półżywych ludzi, pozostałych z załogi, nie znalazło już amunicji w koszarach, zamienionych w dość improwizowaną fortecę.

Tak zamykali się Polacy w Gdańsku, by walczyć i ginąć.

Na wybrzeżu polskiem rozgrywały się boje niemniej zażarte. Znajdowało się tam dziewięć bataljonów wojsk odciętych od reszty kraju już pierwszego dnia wojny. Osadziły się one na ostatniem pasmie lądu, za którem zaczynało się morze. Ziemia tamtejsza, łąki osypane więdniejącym na czarno żarnowcem, bronzowe kotliny torfowisk, sosnowe lasy i schowane śród nich jeziora, patrzyły przez dwanaście dni jak bił się o nie ślepy na przewagę wroga, uparty, niewiarogodny żołnierz. Wdarł się on w wypadach ofensywnych na teren gdański, aż pod Oliwę, i nie chciał się stamtąd wycofać, nawet gdy odwoływały go rozkazy. Zachodził na tyły Niemców, jak było pod Kartuzami, skąd wyniszczywszy garnizon, wrócił z jeńcami i bogatym łupem. Zasłynął atakami pancernego pociągu a napoły widma, noszącego nazwę "Smok Kaszubski" który wpadał w środek Niemców, siekł ich i znikał nieuchwytny, choć przecież przykuty był żelastwem do ziemi a nie latał w powietrzu.

Po dwunastu dniach wojska te, poszarpane w walkach, mimo, że dopełniły je dwa bataljony spieszonych marynarzy, musiały zejść z łąk, lasów i torfowisk i zwinąć zbyt szeroki front. Trzeba było oddać Niemcom Gdynię i skupić się na pozostałej resztówce polskiego dobytku, na gołem pustkowiu Oksywja, portu floty wojennej. Wolne wybrzeże zmalało do pięciu kilometrów kwadratowych.

Tam zaparły się ocalałe oddziały i biły się do ostatka, odsłonięte i atakowane ze wszystkich stron, z powietrza z ziemi i z morza. Opór ich był tak wytrwały, że Niemcom nie starczyła jedna dywizja i musieli do jej szeregów dodać drugą. Ale nawet i taka przewaga łamała się przez następnych siedem dni pod ogniem obrońców.

Aż nadszedł 19 września a z nim koniec nadmorskich polskich Termopil. Atak wszystkich możliwych sił niemieckich, piechoty, czołgów, lotnictwa, artylerji lądowej i okrętów wojennych, wydarł ostatnie tchnienie z Oksywja. Gdy szturmy niemieckie stratowały goły płaskowyż i rozwaliły koszary marynarki, dowódca polski, bijący się w żołnierskim szeregu, mimo rany otrzymanej poprzednio, szukał jeszcze możliwości walki w ostatnim załomie terenu, w płytkim okolicznym wąwozie, zwanym Babi Dół. Przypadł tam z trzydziestoma ludźmi i bronił się do ostatniego naboju. Nie skierował go do Niemców, zostawił go w rozgrzanym karabinie dla siebie.

Tak zginął pułkownik Dąbek, dowódca obrony wybrzeża, który w jednym z ostatnich rozkazów na Oksywju powiedział "nie zostało nam już nic, ale mamy jeszcze honor żołnierski".

Gdy komandor opowiadał o tych wypadkach, płytki jar oksywski poszerzał się do niezwykłych rozmiarów. "To wszystko działo się prawie ne naszych oczach"—dorzucił czasem. Mówił bez śladu patosu a jednak sama kronika tych wspomnień miała w sobie siłę nie do odparcia.

Na oczach tych marynarzy wyginęła również polska flota, pozostawiona dla obrony wybrzeża i przez to skazana zgóry na zagładę. Kontrtorpedowiec "Mazur" trafiony bombą lotniczą, odstrzeliwał się tonąc a porucznik D., dowódca osłony przeciwlotniczej, nie opuścił swych dział nawet gdy pokład stanął pod wodą. Trawler "Mewa" w czasie jednego z nalotów znalazł się bez załogi, strąconej siłą wybuchu do morza, ale i wtedy kapitan L. dwukrotnie ranny, leżąc przy działach, zdołał przy nich zgromadzić maszynistów z komory motorowej i strzelał do końca. Stawiacz min "Gryf" i kontrtorpedowiec "Wicher", choć przycumowane do brzegu, odparły atak dwu kontrtorpedowców niemieckich, przyczem już pierwsza nasza salwa była tak celna, że zmusiła jeden z niemieckich okrętów do odwrotu, podczas którego zatonął. Pięć łodzi podwodnych szukało spotkania z Niemcami, ci jednak nie schodzili z głębokości 12 metrów, nie nadającej się do podwodnego ataku. Nieustannie napadane z powietrza, kryły się pod wodą i kładły na dno morskie a późniejsze ich losy, pełne najbardziej ryzykownych przedsięwzięć, przechodzą w dziedzinę nieprawdopodobieństwa. Choć wszystkie doznały uszkodzeń, żadna nie wpadła w ręce Niemców. Trzy najdotkliwiej okaleczałe, schroniły się do Szwecji. Dwie, "Wilk" i "Orzeł", dotarły do Anglji, przeniknąwszy kordon niemiecki i cieśniny duńskie. "Orzeł" dokazał tej sztuki, płynąc bez map.

Wiele z tych rzeczy znałem z innych relacyj—nigdy jednak nie odżyły one we mnie z tak przejmującą wyrazistością jak teraz, gdy wspominał o nich ten spokojny, niepopędliwy czowiek, który kiedyś był ich świadkiem.

— Wystarczyło — mówił — spojrzeć przez szkła z bylejakiego punktu na Helu, by nie poznać świata. Od lądu ciągnęły chmury dymu, morze pełne było walk a powietrze nalotów. Tak wyglądał kraj polskich wakacyj, tak konała nasza stacja morska. Wszystko, cośmy najbardziej ukochali. A przecież Hel był także piekłem, sam dla siebie.

Mając tak mało morza, wybraliśmy z jego okolic ten osobliwy półwysep na obszac szczególnej miłości. Wąziutkie pasmo ziemi uciekło 35 kilometrów od stałego lądu i położyło się śród Bałtyku samorodną groblą. Hel powstał z piachów naniesionych do morza przez Wisłę, jakby ta rzeka chciała przedłużyć naszą ziemię. Na wodach, często nieprzyjaznych i burzliwych, półwysep utrzymywał się dzięki ludzkiej pomocy. Utrwalano go przez specjalne faszyny, podwyższono przez lasy sosnowe a usypisty brzeg zasiano roślinnością, śród której piękny oset rozsiadał się na piaskach niby kokosza chroniąca pod sobą pierzchliwą rodzinę.

Na tej smudze ziemnej, zagiętej śród morza łukiem jak pazur, toczyło się twarde, pracowite życie kilku osad i niewielkich przystani kaszubskich. W miejscu gdzie półwysep wiązał się z lądem, wybudowaliśmy port rybacki, skąd statki łowieckie wypływały na dalekie wyprawy, na Bałtyk i na Atlantyk. W miejscu gdzie się kończył, w miasteczku, noszącem wspólną z całym półwyspem nazwę, pogłębiono starą przystań i zaczęto wznosić umocnienia wojskowe. Miała tam powstać morska twierdza. Z resztą kraju wiązała te strony kolej, którą kładliśmy troskliwie na wątłych gruntach i która latem woziła tysiące przybyszów ze wszystkich stron Polski a śród nich najruchliwsze, śpiewne rojowiska kolonji dziecięcych i obozów młodzieży. Stąd wyjeżdżali młodzi żeglarze na jachtach do Szwecji i na wyspy bałtyckie, tu marynarze uczyli się morza, profesorowie i studenci badali plankton na swoich specjalnych okrętach. Kto szukał ciszy, szedł między wysokopienne czerwone sosny w Juracie, gdzie napół oswojone sarny nie przestawały skubać mchu na widok człowieka a w powietrzu mieszał się zapach jodu z zapachem żywicy.

— Hel był jednak dla nas pułapką matematyczną—powiedział raz komandor.— Trzydzieści pięć kilometrów półwyspu dawało w obliczeniach siedemdziesiąt kilometrów wybrzeża ale cóż z tego, kiedy półwysep w najszerszem miejscu miał dwa kilometry przestrzeni a w najwęższem sto pięćdziesiąt metrów. To dobre do statystyki a nie do życia. Poza Helem mieliśmy tylko sześćdziesiąt pięć kilometrów morskiego brzegu. Niech pan teraz porówna nasze ubóstwo z tymi tysiącami, które nas tu otaczają i niech pan powie co począć z taką miłością?

Być może świadomość tej dysproporcji i niewspółmierności wobec świata była jedną z pobudek polskiej ambicji a w czasie wojny przyczyniła się także do wzmożenia oporu. W każdym razie Helu broniono tak, jak broni się najgorętszego kochania.

Gdy w jarze na Oksywju padł ostatni strzał pułkownika Dąbka, opór polski przeniósł się na półwysep. Odcięty 14 września od lądu Hel miał niewiele ponad dwa tysiące żołnierza do obrony a od pierwszego dnia wojny przechodził najdotkliwsze jej doświadczenia. Zaczęło się od nalotów powietrznych, od których zapaliły się wyschnięte w upalnych pogodach lasy sosnowe. W ten pożar, którego dymów nie chciał rozwiać wiatr, padały bomby lotnicze i pociski artyleryjskie. Na Hel strzelały 28-centymetrowemi działami dwa pancerniki, wprawdzie starego typu lecz wyposażone w nową artylerję, "Schlesien" i "Schleswig Hollstein", znany Polakom z walk na Westerplatte. Ze zdobytego wybrzeża zaczęły bić dwie baterje 15-centymetrowe, ustawione na lorach, pociąg pancerny podjeżdżający od Pucka i artylerja atakującej piechoty.

W ognistej młócce niewiadomo było gdzie się schronić i przeciw komu walczyć. Dzień w dzień nadchodziła jakaś wiadomość o zatopionym okręcie lub o ciężkim ataku. Na łódź podwodną "Sęp" rzucono raz 35 bomb, na łódź podwodną "Ryś" 53 bomby. Z ocalałych okrętów wychodzili ludzie napół przytomni.

Straszliwy ucisk nerwów i szaleństwo zniszczenia nie obezwładniły jednak obrońców. Upiorna pozycja, otoczona zewsząd morzem i zalewana zewsząd ogniem, odstrzeliwała się bezustannie.

Hel nie miał lotniska, musiał bronić się z ziemi. Artylerja przeciwlotnicza dwoiła się i troiła. Na pojedynek tych strzelców, przykutych do półwyspowej tratwy pod stadami kołujących maszyn, żołnierze patrzyli jak na jedyną możliwość odwetu. Widok każdego zestrzelonego samolotu wyrywał z gardeł okrzyk, który toczył się po wszystkich oddziałach. Nie było dnia, by półogłuchła załoga obrońców nie podnosiła takiego wiwatu.

Z okrętów, które poranione w bojach i niezdatne do walki, dopływały tu, by utonąć, zdejmowno działa i potem montowano je na nowych stanowiskach; marynarze przechodzili do spieszonych oddziałów. Ocalałe trawlery wypływały nocą na niewiarogodne wyprawy pomiędzy okręty niemieckie i stawiały miny w zatoce gdańskiej, która wydawała się przeniknięta wzdłuż i wszerz przez wroga. Dowódca baterji artyleryjskiej na cyplu półwyspu stał przy swych działach owinięty w bandaże, uciekłszy samowolnie ze szpitala. Na panceniku "Schleswig-Hollstein" wylądowała celna salwa polska, która wywaliła jedną z jego wież strzeniczych i rozbiła pyski najjadowitszych armat.

Od lądu jednak przeciwnik wnikał zwolna na polską groblę Odpędzano go stamtąd kontratakami a jeden z nich, dokonany przez oddział marynarzy, wyciął w pień intruzów i dotarł aż do Swarzewa. Niemcy wracali ponownie, raz drugi i trzeci, z świeżemi siłami. Główne uderzenie powierzyli wyborowemu pułkowi, znanemu Klehm-Regiment, od nazwiska dowódcy.

Po tych frontowych szturmach, poszarpani dotkliwie przez straceńców z Helu, przyjęli taktykę, na którą nie było, zdawało się, środka obrony. Zmasowali ogromną ilość artylerji i ogniem jej siekali grunt wąskiego półwyspu metr po metrze, tak że nic tam nie mogło się ostać. Atakująca piechota wchodziła na istne rumowisko terenu, który kiedyś wymagał tylu zachodów i pracy, by istnieć i utrwalić się śród morza. Półwysep, atakowany w ten sposób u nasady, niszczony artylerją wzdłuż całej swojej długości i rozbijany najsilniejszą koncentracją ognia u cypla rzuconego w morze, osaczała przemoc nie do odparcia.

Dowództwo uciekło się wtedy do ostatecznego zabiegu. Postanowiono wysadzić w powietrze najwęższe części Helu i odciąć się przez to od atakujących Niemców, przynajmniej na jakiś czas.

— Z półwyspu mieliśmy stać się wyspą — opowiadał komandor. — Przygotowanie tego powierzono mnie.

Jako szef służby broni podwodnej miał on pod sobą składy torped używanych przez łodzie podwodne. Ponieważ okręty te były już wszystkie uszkodzone, dalsze przechowywanie torped stało się bezcelowe. Przeznaczono je teraz do innego użytku, do obrony lądowej. Komandor miał ułożyć z nich pola minowe.

Użyto do tego tak zwanych głów torpedowych. Są to przednie części torped, napełnione materjałem wybuchowym. Siła ich była duża, ważyły 330-350 kilogramów każda.

Komandor postanowił utworzyć trzy pola minowe. Pierwsze znajdowało się o kilometr za miejscowością Chałupy, drugie o trzy kilometry za pierwszem, i trzecie przed Kuźnicami, mniej więcej w połowie półwyspu, gdzie istniały przygotowane wprzódy umocnienia betonowe.

Na pierwszą linję Ł. wybrał najwęższy skrawek Helu, liczący 150 metrów od morza do morza. Prace zaczęto 17-go września w nocy. Zdejmowano z torped żółto malowane stożki głów, ładowano je na samochody i przewożono ze schronów na pozycje. Do pierwszej linji przeznaczonych

Dokończenie na str. 2-ej

*Z przygotowanej do druku książki pod tytułem "Pobojowisko".



Miasto Gdynia

JAN LECHOŃ

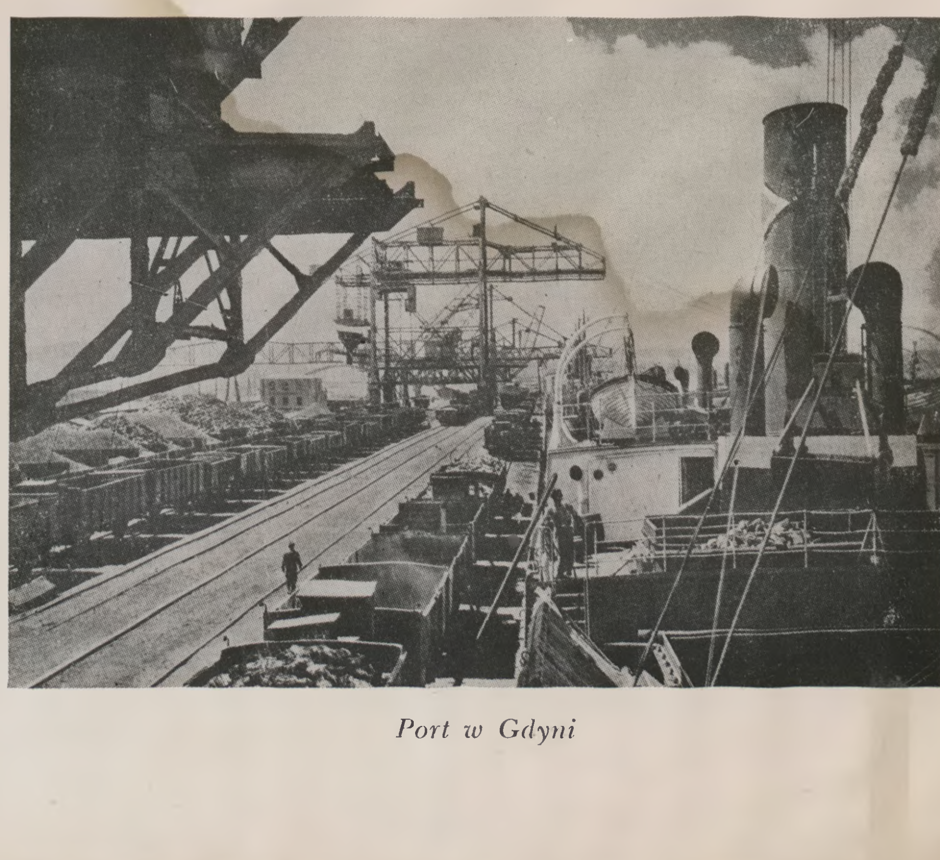
SKOWRONEK

Padł granat i rozburzył ten stary kantorek,
Przy którym płakał Gustaw po stracie kochanki,
Spłonął w września płomieniach kolumnowy dworek,
Ten z czarnym fortepianem dworek z "Warszawianki".

Ciche domy dzieciństwa, gdzie się błogo śniło,
Książki niegdyś czytane z płomieniem na twarzy,
Wszystko, wszystko co nasze do kości z cmentarzy
Wydano na zagładę lub w proch się zmieniło.

I tylko tak jak zawsze, kiedy błyśne dzionek,
Nad rolę we mgłach całą i nad stare drzewa,
Wysoko, aż do nieba wznosi się skowronek
I tę samą co zawsze piosnkę swoją śpiewa.

O ptaszku, który śpiewasz w Żelazowej Woli!
Niech głos twój dzwoni ciągle nad wiosenną ciszą,
Nad każdym tym co cierpi, nad wszystkiem co boli —
Szczęśliwi, ach szczęśliwi, którzy ciebie słyszą!



Port w Gdyni

BOLESŁAW ZUBRZYCKI

EUROPA I POTĘGI

I.

Sytuacja powstała naskutek opanowania kontynentu europejskiego przez armję niemiecką, która narzuciła prawie całej Europie historycznej swoją koncepcję ładu, jest pierwszą i jedyną w dziejach tego starego kontynentu. W wojnie, której głównym, bezpośrednim celem jest skruszenie niemieckiej machiny militarnej, i która zadecyduje o przyszłych losach Europy, rozstrzygające atuty leżą niemal całkowicie w ręku mocarstw pozakontynentalnych.

Używana dziś często analogja między sytuacją dzisiejszą a tą, która powstała po upadku Bonapartego, traci tu swoją wymowę. Sygnatarjuszami pokoju wiedeńskiego były mocarstwa kontynentalne, z których żadne nie mogło w istniejącym wówczas układzie sił myśleć o całkowitem i niepodzielnem zapanowaniu nad kontynentem. Podziały kontynentu, a nie panowanie nad nim, były przedmiotem przetargów na wiedeńskim jarmarku intryg.

Mocarstwa, które dziś z trzech stron atakują hitlerowską twierdzę Europy, są mocarstwami poza-kontynentalnemi. Ich punkty ciężkości, źródła siły, tradycje polityczne leżą poza granicami Europy historycznej. Od ich powodzenia powojennego, od ich decyzji politycznych zależeć będzie przyszłość kontynentu, który przez tysiące lat był nietylko ojczyzną wielkiej cywilizacji ale także największem skupieniem siły militarnej w otaczającym go świecie.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że **skruszenie obecnej potęgi Niemiec wytworzy w Europie nieznaną jeszcze w historji tego kontynentu, całkowitą "próżnię siły", jak to wspaniale określiła niedawno p. Dorothy Thompson. Powstanie tej próżni zostawi otwarte bramy dla ambicji podboju politycznego czy militarnego kontynentu. Od natężenia tych ambicji, i od stojącego za niemi potencjału strategicznego, jak też od stopnia, w jakim inne siły potrafią takie ambicje zneutralizować, zależeć będzie, czy degradacja polityczna Europy, przeżywana przez nas obecnie, będzie tylko przejściowym epizodem, czy też trwałem pogrążeniem w mroku.**

II.

Praktyczne znaczenie wszystkich przymierzy wojennych i wszystkich wzajemnych porozumień obronnych, mierzone być może jedynie ilością dobrej woli, którą w daną umowę wnoszą jej poszczególni sygnatarjusze. Tę prawdę prostą i dobrze zilustrowaną dziejami wielu setek dokumentów, które od czasu traktatu wiedeńskiego wypychały archiwa dyplomatycznych kancelarji Europy, przypomniał świeżo Ameryce Herbert Hoover, człowiek, którego trudno nazwać filozoficznym pesymistą.

Świeże doświadczenia jak dzieje sojuszu francusko-brytyjskiego i włosko niemieckiego, nie mówiąc już o szeregu traktatów, które miały zmienić w oazę pokoju Europę Środkową i Wschodnią, dowodzą, że wyjątki są w tej zasadzie dużą rzadkością. Krótko mówiąc, wszelkie przymierza trwają tak długo, jak długo leżą w interesie strony silniejszej i jak długo pokrywają się z jej dążeniami i aspiracjami.

Przypomnienie tych może nieco pesymistycznie brzmiących prawd nie ma na celu umniejszać znaczenia, jakie mają zawarte między Sprzymierzonymi porozumienia i sojusze, które wywarły tak duży wpływ na dotychczasowy przebieg wydarzeń wojennych i które stanowią dla narodów podstawę uzasadnionej nadziei i wiary, że prawo zwycięży bezprawie i wolność pokona niewolę. Przyjaźnie, powstałe w tych trudnych czasach próby stanowią zbyt wielki kapitał dla przyszłości międzynarodowej współpracy dla zebezpieczenia pokoju, by mogły być zapomniane dla jakiegoś wątpliwego interesu czy chwilowej szansy w jakiejś gierce, choćby nawet o wysoką stawkę.

Nie da się jednak zaprzeczyć, że trąbka, nadająca sygnał "przerwij ogień" ma dziwną moc wstrząsania najbardziej trwałemi i serdecznemi przyjaźniami wojennemi. Znika bowiem wtedy jednoczący wpływ niebezpieczeństwa, dawne nieufności i pretensje wzajemne zajmują miejsce t. zw. wieczystych przyjaźni. Animozje francusko-brytyjskie w okresie opracowywania klauzul traktatu wersalskiego, które w tak dużym stopniu przyczyniły się do spaczenia koncepcji wilsonowskich, są wystarczającą ilustracją wstrząsu, jaki przynosi ze sobą przerwanie operacji wojennych na losy wspólnie budowanych marzeń i planów wojennych.

Gdy po latach długich zmagań odezwie się znów trąbka wyczekiwanym przez cały świat sygnałem "przerwij ogień", otworzy ona zwycięzcom bramy bastjonu, który jest kluczem do panowania nad światem. Tym kluczem robi go jego centralne położenie w hemisferze lądów, liczebność zaludnienia, potencjał gospodarczy i ukształtowanie geograficzne.

Ten klucz będzie stawką w rozgrywce, która się rozpocznie na gruzach powalonej "Festung Europa". Będzie to największa stawka, jaką rozgrywano w historji.

Natężenie pokusy zależy od wysokości stawki i dlatego przypuszczenie, że porozmienia, osiągnięte w czasie wojny mogą usunąć konieczność ostatecznej rozgrywki, a choćby tylko złagodzić jej przebieg, wydają się pozbawione realizmu.

Zniknięcie niebezpieczeństwa wyzwala bowiem dopiero potęgę żądzy, odsłaniając oczom nagą wspaniałość pokusy. W obliczu niebezpieczeństwa trwoga niweluje pragnienia i czucia, podporządkowując wszystko instynktowi samozachowania; dopiero po wyzwoleniu z trwogi odzywają się w całej pełni namiętności: głód władzy i bogactwa, zawiść względem silniejszych, bogatszych, mądrzejszych.

III.

Spróbujmy spojrzeć na Europę oczyma zdobywcy, odrzuciwszy balast sentymentalnych nawyków i uwolniwszy się od naszej, z konieczności, przybliżonej perspektywy, w której bogactwo szczegółów utrudnia ocenę całości. Zobaczymy wtedy że za tą skomplikowaną siecią szczegółów problemy związane z jej przyszłością, dadzą się ująć w kilka ogólnych schematów, obejmujących wszystkie rozwiązania możliwe. **Z perspektywy każdego z atakujących ją dzisiaj mocarstw pozakontynentalnych nasuwają się trzy możliwe rozwiązania t. zw. "kwestji europejskiej", a to:**

1. Przywrócenie Europie jej dawnego znaczenia w świecie przez nadanie jej bardziej zwartej organizacji politycznej, wiążącej jej różnorodne elementy w zrównoważoną całość i przez uniemożliwienie powstawania na jej terenie tendencji odśrodkowych, grożących hegemonją jednego narodu nad innymi.

2. "Neutralizacja" Europy, czyli uniemożliwienie jej konsolidacji wewnętrznej przez podtrzymanie jej duchowego i politycznego rozbicia czy też poddanie jej i uzależnienie od wielkich mocarstw. Do tego prowadzi podział Europy na strefy wpływów, w tym kierunku zmierzają propozycje kontrolowania jej przez międzynarodową policję, pozostającą pod wpływem, pośrednim lub bezpośrednim, wielkich potęg pozakontynentalnych. Ostatecznym rezultatem takiej neutralizacji będzie w każdym wypadku zamiana kontynentu w teren walk i rozgrywek o wpływy, który prędzej lub później stanie się ogniskiem nowej wojny lub pokojowo zdobytą ekspozyturą jednego mocarstwa.

3. Opanowanie Europy lub głównych jej bram wypadowych i baszt narożnych we własnym interesie jednego mocarstwa celem zyskania kontroli nad nowymi obszarami oraz zabezpieczenia sobie przewagi w stosunku do innych potęg światowych w przewidywaniu późniejszego konfliktu z niemi.

Rozwiązania te mogą być rozmaicie sformułowane, różnić się między sobą opracowaniem szczegółów i zabarwieniem ideologicznem. W gruncie rzeczy jednak są to jedyne rozwiązania możliwe, wyznaczone światowym układem sił ekonomicznych, militarnych, dyslokacją geograficzną wielkich centrów biologicznego dynamizmu ludności, źródeł energji i zapasów surowców. Bliższa analiza istniejących koncepcji wykazuje, że dadzą się one wszystkie zmieścić w jednym z powyższych schematów.

I tak np. koncepcje federacyjne wysuwane przez państwa starego kontynentu i wielu amerykańskich konstruktorów pokoju prowadzą do konsolidacji wewnętrznej i do odbudowy politycznego znaczenia Europy. Podtrzymanie rozbicia europejskiego zdąża do zamiany jej w teren rozgrywek między mocarstwami i daje się sprowadzić do rozwiązania drugiego świata zamieniającego kontynent w Bałkany, świata, w którym żaden system zbiorowego bezpieczeństwa nie da ani trwałego pokoju ani siły do samoobrony przed możliwością agresji pozakontynentalnej czy próbami podboju ideologicznego.

IV.

Dla demokracji amerykańskiej bezpieczeństwo i niezależność ludów Europy były zawsze warunkami własnego pokoju i pomyślności. Europa silna i kwitnąca, niezależna od wpływów wielkich potęg militarnych, zrównoważona ideologicznie i gospodarczo nie stanowiła nigdy dla Ameryki ani groźby militarnej ani konkurenta gospodarczego. Niebezpieczeństwem dla niej były jednak zawsze wszelkie próby polityki siły w Eropie, które łamiąc neutralne zrownoważenie wewnętrzne starego kraju prowadziły zawsze do polityki zamorskich awantur. Ameryka nauczyła się patrzyć na Europę jako na pewną całość organiczną znacznie wcześniej niż sami Europejczycy; czuła się zawsze córką kultury, stworzonej wspólnie przez wszystkie ludy Europy. Wszyscy członkowie europejskiej rodziny ludów byli dla demokracji amerykańskiej krewnymi w tym samym stopniu, ich równouprawnienie oczywistym postulatem sprawiedliwości. Kooperacja ludów Europy była więc troską Ameryki — powstała z niej siła nie mogła się nigdy stać nawet potencjalnem tylko niebezpieczeństwem dla jej wolności. Niebezpieczeństwem natomiast było zawsze widmo opanowania Europy przez imperjalizmy wojujące, wprzęgające jej ludy w jarzmo swej militarnej maszyny, tak w okresie świętych przymierzy, jak w czasach koncertu dyktatorów.

Europa wolnych ludów gwarantujących swą kooperacją jej bezpieczeństwo i siłę obronną przed imperjalizmami była i pozostaje nadal nietylko uczuciowo uzasadnionym ideałem jej wspaniałego zamorskiego dziedzica ale także podstawowym warunkiem jego bezpieczeństwa.

V.

Udział Wielkiej Brytanji w organizacji politycznej kontynentu ograniczał się tradycyjnie do pilnowania, by żadne z państw europejskich nie próbowało ograniczyć brytyjskiej kontroli nad wielkimi szlakami morskimi. Imperjalizmy kontynentalne były zawsze przeciwne tej kontroli i nic dziwnego, że postawa Anglji wobec nich była przeważnie jeśli nie wroga to niechętna.

Ostatnie dziesiątki lat, które przyniosły za sobą emancypację gospodarczą dominjów, zbliżyły ją do kontynentu, będącego najbliższym i najpewniejszym rynkiem. Zachowanie pokoju na kontynencie stało się warunkiem bezpieczeństwa Anglji.

Rozwój nowoczesnej techniki odebrał wyspom Zjednoczonego Królestwa dużą część ich dawnej obronności — granice strefy zabezpieczającej je przesuwały się kolejno z brzegów kanału La Manche do Renu, później do Wisły, Niemna i Adrjatyku.

Te przemiany zmuszają angielską myśl polityczną do porzucenia dawnych zasad równowagi imperjalizmów europejskich, która w interpretacji brytyjskiej była stale pewną odmianą starej zasady divide et impera. **Uzależnienie bezpieczeństwa Anglji od bezpieczeństwa całego kontynentu sprowadza ją do roli członka kontynentalnego systemu obronnego, który nie może być zbudowany na podziałach kontynentu ale tylko na jego konsolidacji. Bombowce wylatujące z Londynu bombardują dzisiaj skutecznie Jenę i Norymbergę. Można się spodziewać, że w okresie, gdy rozbitą zostanie niemiecka potęga militarna, bombowce startujące z Kowna czy Wilna będą mogły bombardować Londyn równie skutecznie, jak robiły to w roku 1940 bombowce, startujące z Ostendy.**

Konserwatyzm angielski lubi się trzymać ustalonych schematów i temu przypisać należy wciąż powracającą w Anglji ideologję świętego przymierza i wspomnienia polityki izolacjonizmu z dobrych czasów królowej Wiktorji. Na szczęście technicy angielscy, znający dobrze prawdziwe możliwości techniki nowoczesnej potrafią wyciągnąć praktyczne wnioski z dokonanych postępów.

VI.

Ze wzgórz uralskich kontynent europejski wygląda jak wysunięty na zachód śmiesznie pokręcony przylądek wielkiej Azji. Nie jest on zamkniętym obszarem lądu. Jego skarbów nie bronią ani głębokie fosy wód ani mury gór. Wielki niż, ciągnący się szerokim pasem wzdłuż Bałtyku i morze Północnego, zaprasza najeźdźcę jak gościniec. Boczna Brama Morawska otwiera południe aż po brzeg Adrjatyku, korytarze wybiegające z doliny Renu zapraszają do Paryża, Burgundji, Gaskonji.

Europa z perspektywy Uralu wygląda zupełnie inaczej niż oglądana ze skał Dovru czy budynków Manhattanu.

Różnice dzielące poglądy Moskwy od bliskich sobie i dających się pogodzić stanowisk Ameryki i Wielkiej Brytanji nie są tylko różnicami perspektywy. Dla obu demokracji anglosaskich pragnienie uczynienia z tej wojny ostatniej wojny, jest postulatem zasadniczym. Poglądy Moskwy na trwałość pokoju światowego są nawskroś pesymistyczne; pesymizm ten jest logicznym wypływem jej światopoglądu negującego możność osiągnięcia trwałego pokoju w świecie, któremu dyktatura proletarjatu nie narzuciła jeszcze bezklasowej struktury społecznej. Władcy Kremlu uczyli się patrzeć przez całe wieki na kulturę i ideały Zachodu jako na niebezpieczeństwo dla organizacji wewnętrznej ich imperjum. Muru między Rosją a Zachodem nie zbudowały państwa wersalskie, w ten mur uderzał już w jedenastym wieku Szczerbiec Chrobrego. Dla patrzących z za tego muru, dzielącego historyczną Europę od historycznej Azji, Zachód był zawsze pokusą, ziemią obiecaną, cudownym rajem Hesperyd, w którym złote jabłka czekało nocą na złodzieja, rankami na złoczyńcę. Idea zdobywszego pochodu na zachód, pochodu dla zrównania wyżyn Zachodu z jałową monotonją stepu określała przez wieki stosunek Rosji do Zachodu. Wszedłszy po Piotrze Wielkim w bezpośredni kontakt z problemami polityki europejskiej, Rosja uważała zawsze wszelki polityczny, społeczny czy gospodarczy postęp Zachodu za niebezpieczeństwo dla swego ustroju wewnętrznego. Rozbiory Polski były w ujęciu Katarzyny niezbędną interwencją ideologiczną.

Polityczne i kulturalne odcięcie Rosji od Zachodu nie jest—jak powiedzieliśmy—wynikiem takiej czy innej polityki państw Europy historycznej wobec Rosji. Oskarżanie zachodnich sąsiadów Rosji o stworzenie barjery między nią a Zachodem jest zarzutem śmiesznym. Tę barjerę starą, jak Rosja sama, stworzyły różnice dzielące kulturę dwóch kontynentów.

VII.

Dla Sowietów wojna obecna otwiara inne perspektywy niż dla mocarstw atlantyckich. W przeciwieństwie do Zachodu, który nieszczęśliwym parasolem próbował ratować tonący w zamęcie pokój—Rosja podłożyła pierwszą zapałkę pod europejski skład dynamitu, podpisując rękami Mołotowa układ z Ribbentropem. Okres owego przymierza z Hitlerem wykorzystała dla agresji na Polskę, Litwę, Łotwę, Estonję Finlandję i Rumunję. Z radością powitała upadek Norwegji, Belgji, Holandji, Luksemburga i Francji. Upadek Imperium Brytyjskiego był oczekiwany w Moskwie z zapartym oddechem, jako koniec ostatniego z wielkich bastjonów demokracji na wscnodniej półkuli.

"Zniszczenie Imperjum Brytyjskiego jest warunkiem ostatecznego zwycięstwa proletarjatu" mówił towarzysz orденonosec Kornijczuk na zebraniach urządzanych dla inteligencji polskiej we Lwowie wczesną zimą 1939(1) Powtarzali to Nagórscy i Borejsze, powtarzały Izwiestja i Prawdy, w mniej coprawda otwartej formie niż szczera wypowiedź obecnego uczestnika rozmów z ministrami potęg atlantyckich.

Na całym świecie ludzie Moskwy przedstawiali ideologiczny konflikt demokracji europejskich z pochodem totalizmu jako imperialistyczną wojnę fabrykantów armat.

W lecie 1941 Rosja stała się ofiarą napadu ze strony sprzymierzeńca. Przymierza jej zostały zapomniane prędzej, niżby się można było spodziewać i dawny partner wojenny Niemiec został bez trudności przyjęty do grona Narodów Sprzymierzonych. Wstrzymanie naporu niemieckiego nad Wołgą, oraz sukcesy wojenne ostatniego roku postawiły kolumny sowieckie przed bramami hitlerowskiej fortecy.

VIII.

Koncepcje jedności europejskiej należą do tych starych i szanownych mitów politycznych, które pod różnemi postaciami przetrwały w umysłowości europejskiej, jako dziedzictwo nieśmiertelnej myśli politycznej Rzymu. Rozbijały się jednak zawsze w swej realizacji praktycznej o uzasadnione obawy ludzkie, że będą one jedynie tylko dogodnem narzędziem opanowaniania kontentu przez jedno mocarstwo, które uzyska prymat nad innymi narodami.

Ten los spotykał średniowieczne idee konsolidacji pod berłem Cesarzy czy Papieży, ten los zamieniał w fantastyczne rojenia sugestje pisarzy i filozofów w przeciągu długich wieków.

Tej obawie przed grożącą dominacją gospodarczą i kulturalną Niemiec przypisać należy odrzucenie Paneuropy hrabiego Coudenhove-Kalergi, która tyle zgiełku narobiła w pacyfistycznej epoce Arystydesa Brianda.

Wojna obecna dokonała dużego przewrotu tak w umysłowości ludów europejskich, zjednoczonych w walce z jednym wrogiem o wspólne prawo do życia, jak też w pojęciach bezpieczeństwa i niezależności państwowej.

Za drutami Stalagow i w piekle obozów koncentracyjnych nastąpiło zbliżenie między narodami walczącymi, wyrównujące różnice, pozostałe po wiekowych waśniach. Cierpkie lata poniżenia wyleczyły wiele przesądów, opartych na krótkowzrocznym egoiźmie. W świetle doznanych klęsk uwypukliły się błędy i zaniedbania lat minionych, odrodziło się zatracone w zaułkach partykularyzmu poczucie współzależności i współodpowiedzialności. **Wielkie święte przymierze ludzi przekładających śmierć i cierpienie nad niewolę, ratyfikowane codzień salwami plutonów egzekucyjnych buduje zręby nowej rzeczywistości europejskiej, podstawy wielkiego renesansu politycznej i kulturalnej wspólnoty ludów kontynentu.**

Ta wojna jest jednocześnie straszliwą lekcją rzeczywistości, stworzonej przez nowoczesną technikę. W tej rzeczywistości, stworzonej przez nowoczesną technikę straciły sens dawne pojęcia czasu i przestrzeni, mierzonych krokiem piechura; straciy też sens nasze dawne pojęcia o obronności i samowystarczalności obronnej. **Żadne bowiem z państw obrony powersalskiej nie ma w obliczu dokonanej rewolucji technicznej warunków, dających mu choćby tylko krótkotrwałe bezpieczeństwo przed agresją o setki mil odległego napastnika. Bez przesady można twierdzić, że wystarczające warunki obronności mogłoby mieć tylko państwo, sięgające od wybrzeży Portugalji i Hiszpanji po Rygę, Konstancję i Bosfor. Tylko Europa historyczna, jako całość, mogłaby posiadać wystarczające warunki geograficznego bezpieczeństwa i taki stopień samowystarczalności gospodarczej, który pozwoliłby na przetrzymanie ciężaru ekonomji wojennej przez czas potrzebny do odparcia ataku z zewnątrz.**

Doświadczenia wojenne wykazały też, że przyjęte pojęcia "mocarstwowości" w odniesieniu do państw kontynentu europejskiego nie stanowią o ich możliwościach obronnych wobec agresji kontynentalnej. Przykład Francji, Belgji, Holandji a nawet w dużym stopniu Anglji, dowiódł, że posiadanie kolonji i dominjów zamorskich nie jest w stanie wydatnie zwiększyć obronności metropolji. Istnieją też wszelkie podstawy do przypuszczania, że przy środkach technicznych, które będą do dyspozycji ewentualnego napastnika w r. 1950 znaczenie posiadłości zamorskich dla obrony metropolji nie wzrośnie a zmaleje. Tak więc **wykładnikiem mocy w stosunkach europejskich stały się jedynie zaludnienie, uprzemysłowienie, naturalna obronność granic i obszar metropolji.**

IX.

Problemy, przed którymi stoją ludy kontynentu w chwili obecnej, decydującej o losach Europy, są dalekie od ostatecznego rozwiązania. Wielkie i trudne zagadnienie centralne, jakiem jest rola przyszłych Niemiec w Nowej Europie czeka na rozwiązanie które odsunęłoby widmo nowych prób podboju kontynentu przez naród, którego szaleństwo stało się przyczyną tak niesłychanych nieszczęść całej ludzkości i pozwoliłoby znowu na zwrócenie ludzkich energji na pola trwałej i konstruktywnej pracy. Usunięcie niebezpieczeństwa wewnętrznego jest bowiem pierwszym i zasadniczym warunkiem konsolidacji, mającej zmienić Europę w zgodną i szczęśliwą rodzinę ludów, zdolną do zapewnienia sobie trwałego bezpieczeństwa w nadchodzącej epoce wielkich potęg, obejmujących całe kontynenty.

Ewolucja, dokonana w pojęciach bezpieczeństwa i współodpowiedzialności międzynarodowej nie dojrzała jeszcze do tego etapu powszechnego uświadomienia, w którym mogłaby doprowadzić do całkowitego uzgodnienia istniejących rozbieżności w polityce i postawie ideowej różnych odłamów Europy Walczącej i jej zewnętrznych przedstawicielstw. Przeciwnie, nowe linje podziałów, zrodzone nieraz jedynie z różnic temperamentu, przedzieliły społeczeństwa głębokiemi przepaściami nienawiści, pragnienia zemsty, fałszywemi ambicjami i nadziejami, rozbudzonemi przez propagandę płynącą z zewnątrz, w której potiemkinowskie makiety podstawiono za rzeczywistość a ambicje podboju ukryto za dymną osłoną mętnego radykalizmu społecznego.

Tragizm tego rozbicia, któremu uległy w pierwszym rzędzie dwa ważne kluczowe kraje kontynentu: Francja i Jugosławja, wypuklił się w całej pełni zarówno w oszczerczych kampanjach, prowadzonych z cynizmem, godnym Goebbelsa, jak w nieustannych intrygach, mających na celu nietylko uniemożliwienie wszelkich zbliżeń między różniącemi się odłamami ale także przedstawienie prawdziwej rzeczywistości kontynentu w świetle zupełnie fałszywem, tak w oczach demokracji atlantyckich, jak w opinji oczekujących godziny wyzwolenia mas uciemiężonej Europy.

Czynniki pragnące wykorzystać upadek Niemiec dla owładnięcia Europą podtrzymują starannie niepokój kontynentu, rozbudowując zarówno ambicje polityków, którzy zapomnieli o tragicznych skutkach własnej ślepoty, jak też wewnętrzne konflikty w społeczeństwach. Gra ich jest jasna i rękę ich dostrzegamy dziś niemal wszędzie: w Jugosławji, we Francji, w Grecji, w Czechosłowacji, w intrygach politycznych, w oszczerczych kampanjach, w skrytobójczych zamachach, w dezorjentacji, sianej obietnicami przymierzy i pomocy.

Energja, z jaką czynniki te starają się rozsadzić jednoćś Europy, obalić jej najsilniejsze punkty oparcia, zniszczyć odradzającą się ideę konsolidacji, winna być poważnem ostrzeżeniem dla tych, dla których owładnięcie militarne czy ideologiczne kontynentem stanowi bezpośrednią groźbę: dla demokracji atlantyckich i dla ludów Europy, które muszą sobie uświadomić wielkość zagrożenia zewnętrznego i konieczność konsolidacji kontynentalnej. Koncepcje federacyjne, łączące bliskie sobie ludy Europy w silne gospodarczo i militarnie jednostki są niezbędnym etapem tej konsolidacji kontynentalnej, której realizacja w chwili obecnej, przed wyrównaniem istniejących na kontynencie różnic struktury i potencjału gospodarczego mogłaby nie osiągnąć pożądanego celu. Są one rozwiązaniem częściowem i wartość ich zależy w dużym stopniu od tego, jak dalece potrafią one przyśpieszyć ostatecznie organiczne związanie się Europy historycznej w rządną i silną całość polityczną.

Europa historyczna stanowi dziś już bowiem jedną całość, jako wspólnota kulturalna, oparta na jednolitym ideale etycznym i cywilizacyjnym; stanowi ona też całość strategiczną w której bezpieczeństwo każdego z jej elementów przesądza o bezpieczeństwie innych. Całość ta jest niepodzielna. Współzależność narodów europejskich pod względem bezpieczeństwa, wynik wielkiej rewolucji technicznej naszego wieku—jest jednym z najważniejszych faktów, które odsłoniła druga wojna światowa i które zmieniły całkowicie nietylko nasze pojęcia o obronności państw lecz także wykazały absolutną równorzędność znaczenia niepodległości wszystkich członków rodziny europejskiej dla spokojnego i harmonijnego rozwoju całości; Francja i Łotwa, Grecja i Holandja są w niej elementami jednako ważnemi.

Karta Atlantycka, jeden z najwspanialszych dokumentów wielkiej myśli politycznej cywilizacji zachodniej, postawiła przed ludami Ameryki i Europy wizję nowego, sprawiedliwego świata, wizję, dla której warto znosić straszliwe dole i ryzyka wojny. Wizję, która stała się wyznaniem wiary, za którą giną w podziemiach eupropejskiej cytadeli setki tysięcy męczenników.

Ta wizja jest także niepodzielna, bo niepodzielność jest cechą wszystkich prawdziwych ideałów. Ideałów, które przezwyciężają śmierć. Tego rodzaju ideały nie mogą mieć ograniczonego zasięgu ani różnych miar sprawiedliwości. Bo czyż warto ginąć polskiemu Jaśkowi czy Billowi z dalekiej Kalifornji za wolność Paryża czy Antwerpji, gdy w Atenach, czy Rydze, Belgradzie czy Przemyślu dzieci rosnąć będą na niewolników, którym trwoga, głód i poniżenie zastąpią cztery atlantyckie wolności?

(1) Na zebraniu w Uniwersytecie Jana Kazimierza z końcem listopada 1939 r.



Gen. Allan Brook, szef sztabu armji brytyjskiej, odznaczony wysokim orderem polskim. (Na fotografji widoczni: prezydent Raczkiewicz, gen. Sosnkowski, gen. Kukiel, gen. Regulski, gen. Allan Brook i gen. Carton de Viart)

(Dokończenie ze strony 1szej)

GARŚĆ WODY

było trzydzieści głów, łącznej wagi dziesięciu ton. Przewożenie ich zajęło dwie noce. Jednocześnie saperzy zaczęli kopać doły, co można było robić także tylko nocą. Chodziło o to, aby umocnienia te wykonać niespostrzeżenie dla Niemców. Zresztą za dnia wszelka praca była niemożliwa spowodu nalotów i obstrzału artylerji.

Głowy torpedowe układano w szachownicę, jeden pocisk w odległości dziesięciu metrów od drugiego. Łączyły się one ze sobą lontem detonującym. Za polem minowem zbudowano w specjalnym okopie posterunek ogniowy, skąd jeden ruch ręki miał wysadzić w powietrze przesmyk półwyspu. Posterunek połączony był z podziemnym systemem wybuchowym pola również za pomocą lontu detonującego a prócz tego podwójnymi przewodami elektycznymi. Dawało to maksimum pewności, że wybuch nastąpi. Tuż za polem minowem zaczynał się las, którego pasmo, równoległe do pola, wyrąbano i zablokowano na zasiek. Budowę pierwszej linji kończono 20 września. Hel był podminowany. Komandor rozpoczął pracę nad drugiem i trzeciem polem.

Tymczasem na przodzie przed linjami, toczyły się walki swoją koleją. Niemcy po każdem natarciu podciągali bliżej artylerję i osłaniali się drutem kolczastym. Jeszcze dwudziestego kontratak polski zdołał przedrzeć się przez ich umocnienia i wydusić nacierających ze zdobytego terenu. Ale już pięć dni potem Hel miał stać się wyspą.

Jak zawsze, Niemcy zaczęli swą akcję od gwałtownego obstrzału artyleryjskiego. Godzinny ogień huraganowy zalał drobny odcinek eksplodującą lawą. Potem przeszła do ataku piechota. W pierwszym szeregu biegli brzegiem morskim sygnaliści z tarczami. Wskazywali oni obserwatorom jak posuwa się linja piechoty i dokąd przerzucać ogień artylerji. Oddziały nasze cofały się i dotarły poza pole minowe. Na posterunku ogniowym został patrol minerski z podporucznikiem marynarki J.

— Rozmawiałem z nim potem—opowiadał komendor — łatwo pan zgadnie, jak byłem ciekawy każdego szczegółu. Dzień i noc nie miałem spokoju, czy robota moja na coś się przyda. Mój udział to były przygotowania, rozstrzygała sekunda bezemnie. Porucznik opowiadał mi, że miał chwilę niebylejakiej emocji. Widział jak Niemcy wychodzą na otwarty teren, jak artylerja przerzuca naprzód swój ogień metr po metrze. Minęli rozbite zabudowania Chałup, weszli wreszcie na pola minowe, dotarli na wyrąb leśny, gdzieśmy pokładli drzewne zapory. Zbliżała się rozstrzygająca chwila, właśnie ta moja sekunda. Porucznik zakręcił zapłon elektryczny, który w naszym języku zwaliśmy zapalarką. Nastąpi wybuch — czy nie? Artylerja mogła przecież naruszyć połączenia z posterunkiem ogniowym. Ale widocznie torpedy czuły się dobrze w swem ukryciu. Z pod ziemi eksplodowało dziesięć ton. Poszczególne kratery połączyły się razem, woda wdarła się z obu stron i zalała wyrwisko w mgnieniu oka. Atak niemiecki zatrzymał się w tej przepaści. Hel stał się wyspą. To było moje apogeum — zakończył.

Opowiadając o tem, komandor nie tracił swego opanowanego tonu. Nigdy nie komentował przedstawionych faktów, tym razem poprzestał także na paru słowach:

— Ta sekunda dała mi przedsmak zwycięstwa, czego los nam w tej wojnie odmówił. Rozpacz nie jest naturalnym pokarmem życia, choć przecież można żyć narkotykami. Do czasu ale można.

Hel żył tak do pierwszego października. Bronił uparcie płachetki pozostałej ziemi. Walki te pomniejszyły jeszcze bardziej nową wyspę, nieznaną na żadnej mapie. Cofające się wojska wysadziły w powietrze drugą linję, chroniąc się poza ostatnią. Dalsza obrona stała się jednak niemożliwa, zabrakło żywności i amunicji.

Dnia 1-go października o godzinie drugiej po południu ustały działania wojenne według układu kapitulacji. Na pięć minut przedtem, o pierwszej pięćdziesiąt pięć, artylerja polska zestrzeliła jeszcze jeden samolot. Odparła ostatni, bardzo gwałtowny nalot wykonany przez Niemców z przyczyn niedających się odgadnąć, zapewne z dzikiej żądzy zabijania Polaków.

Był to 53 samolot, zbity w obronie morza. Potem Hel milkł. Antena na dachu Polski powiedziała światu wszystko.

Komandor dostał się do niewoli. Rozminowując pola według warunków umowy, rozmawiał często z Niemcami. Uważali oni półwysep za niezdobyty. Dowództwo planowało desant, do którego przygotowano sześćdziesiąt okrętów i dwieście bombowców. Przewidywano wysadzenie wojsk z dwu stron broniącej się pozycji. Hel nazywali wulkanem.

Mój znajomy nie komentował faktów. Rozumieliśmy się bez tego. Wystarczyło nam spojrzeć dokoła, na wesołe i szczęśliwe morze Brazylji i porównać je z losem naszych wód, ściśniętych w kostniejącej garści.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

ARTYSTYCZNE
KARTY ŚWIĄTECZNE

według rysunków wybitnych artystów polskich: Chrostowskiego, Lorentowicz, Mrożewskiego, Stryjeńskiej i Werten.

KOMPLET składający się z 12 pięknych kart podwójnych (folder) 6 z tekstem polskim i 6 z angielskim wraz z kopertami w cenie: $1.00

do nabycia:

E. MORTKOWICZ-Markoe
19 WEST 38th STREET
NEW YORK 18, N. Y.

Powyższy komplet będzie niezwłocznie dostarczony po otrzymaniu należności czekiem lub przekazem pocztowym.

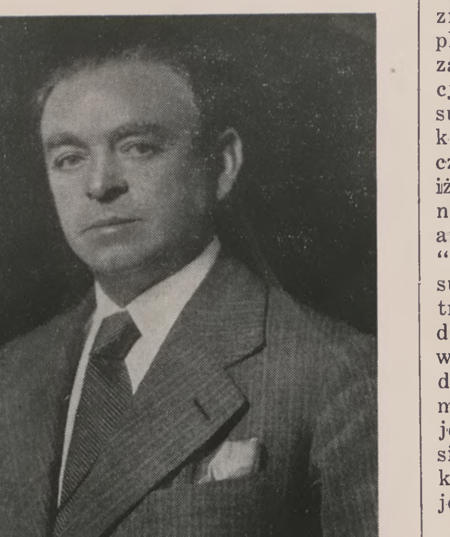
JERZY TEPA

ROZMOWA Z DR. KAZIMIERZEM FUNKIEM

Niewielu z nas zapewne jest wiadome, iż uczony światowej sławy, wynalazca witamin, dr. Funk jest — Polakiem. Złota księga nauki polskiej której wkład do walki o postęp ludzkości szczycić się może plejadą wielkich nazwisk od Kopernika do Marji Skłodowskiej-Curie, powiększa się znów o jedną wielką stronę.

Witaminy, wynalezione i opracowane przez dr. Funka, wykazały swe olbrzymie znaczenie nietylko w bieżącej wojnie, gdy większość naszych sił zbrojnych musi starannie dopełniać odżywczemi składnikami swe pożywienie, przesyłane w formie skondensowanej, w puszkach, przez morza i oceany tysiącami mil. Z punktu widzenia hygjeny i użyteczności środków spożywczych — witaminy stają się zdobyczą o znaczeniu ogólno-ludzkiem dla wszystkich, podnosząc stan zdrowotny dzieci, ludzi starszych, przeciwdziałając chorobom zawodowym, przedwczesnej sklerozie, szkorbutowi, lecząc doraźnie oraz działając profilaktycznie przez stałe wzmacnianie organizmu.

W świetle tych faktów zrozumiałem się staje zainteresowanie, z jakiem słuchałem



Dr. Kazimierz Funk

pewnego niedzielnego popołudnia opowiadania dr. Funka o dziejach witaminy i poszczególnych etapach jej "rozpracowania".

— Urodziłem się w Warszawie w roku 1884 — rozpoczyna swe opowiadanie dr. Funk. — Pierwsze studja odbyłem w Polsce. Następnie wyjechałem do Szwajcarji; studjowałem w Bernie i Genewie — potem w Paryżu. Ukończyłem wydział chemji w Bernie u Polaka, prof. Kostaneckiego.

— A potem?

— Potem długa i żmudna wędrówka naukowca. Dwa lata w Instytucie Pasteura w Paryżu, cztery lata współpracy z laureatem Nobla, chemikiem Emilem Fischerem w Berlinie. W roku 1910 znalazłem się w Londynie w Instytucie Listera, gdzie w rok potem t. j. w roku 1911 rozpocząłem pierwsze prace nad witaminami. W Anglji byłem do roku 1915 — potem wyjechałem do U. S. A.

— Czy był Pan, Panie Doktorze w tym okresie w Polsce?

— Tak jest. W Polsce byłem wielokrotnie. W latach 1923 do 1927 pracowałem w Warszawie, prowadząc dział biochemji w Państwowym Instytucie Hygjeny jako wysłannik Fundacji Rockefellera. W tym czasie byłem w kontakcie z szeregiem uczonych polskich na miejscu, z dr. Hirszfeldem, z dr. Ludwikiem Reichmanem oraz z dr. Nowakowskim, który przybył do Atlantic City jako reprezentant Rządu Polskiego z Anglji.

— Czy mógłby nam Pan, Panie Doktorze opowiedzieć w kilku słowach dzieje swego wynalazku i scharakteryzować pierwsze fazy jego realizacji?

— Współpracując z Prof. Fischerem, specjalistą od białka i zajmując się szczegółowo zagadnieniami odżywiania, zauważyłem już w roku 1907, iż zwierzęta karmione sztucznemi składnikami spożywczemi jak białko, węglowodany, tłuszcze i sole — giną. Przeciwdziałało się temu, podając im naturalną karmę: mleko lub suszone mięso w proszku.

W roku 1911 specjalnie zainteresowałem się badaniem pewnych specyficznych chorób jak np. beri-beri, rozpowszechnionej w krajach, żywiących się białym ryżem (Indje i Chiny) oraz szkorbutu szerzącego się wśród załóg statków handlowych ze względu na długą podróż i brak świeżego pokarmu; dalej krzywicy (rachitis) i pelagry (awitaminoza). W świecie naukowym panował duży spór co do istoty przyczyn tych chorób. Jedni uważali je za specyficzną formę zatrucia, inni za infekcję, mała tylko część lekarzy twierdziła, iż spowodowane zostały one brakiem specjalnych czynników pokarmowych. Instytut Listera zaproponował mi, abym zajął się studjami nad beri-beri, sugerując mi, iż jej powodem jest brak pełno-wartościowego białka.

Po kilku jednak tygodniach zagadnienie białka przestało mnie interesować i doszedłem do przekonania, że czynnik, którego brak powoduje chorobę jest inny, dotąd nikomu nieznany; przeszedłem więc do poszukiwania tego innego, nowego elementu w pokarmie.

Z wielu obserwacji klinicznych było już podówczas wiadome, że beri-beri powstaje w krajach, których mieszkańcy żywią się łuszczonym ryżem a nie spotyka się jej tam, gdzie żywią się ryżem całym, niełuszczonym. Równocześnie wiadomem było z eksperymentów nad zwierzętami, że drożdże piwne wraz z niełuszczonym ryżem zabezpieczają kury od analogicznej choroby. Na podstawie tego spostrzeżenia zaczęła się od roku 1911 popularność drożdży piwnych jako podstawowego źródła czynników, znanych dziś pod nazwą "witamin". Z plew ryżowych i z wyciągów drożdżowych zacząłem wydobywać tę ciekawą substancję. Reakcje chemiczne wykazały, że ta substancja należy do nowego rodzaju, nikomu dotąd nieznanych substancji odżywczych; w wyniku moich badań okazało się, iż należą one do rodzaju zasad organicznych zwanych aminami, specjalnie zaś ta amina znalazła się w grupie tak zwanych "zasad pirymidynowych". Wydzielanie tej substancji było połączone z olbrzymiemi trudnościami laboratoryjnemi, gdyż znajdowała się ona w bardzo małych ilościach w plewach ryżowych i nieco większych w drożdżach; przy przeróbce np. 55 kg. tego materjału — przy końcu procedury było jej mniej niż w wyciągu pierwotnym. Psuła się w trakcie procedury i pomimo przeróbki olbrzymiej ilości materjału — nie było jej więcej niż z mniejszej ilości materjału.

Borykałem się z temi trudnościami przez dwa lata i doszedłem do przekonania, iż jeżeli nie będzie można przerabiać materjałów w większej skali fabrycznie — nie będzie można rozwiązać tego zagadnienia chemicznego. To było podówczas tragedją mego życia, gdyż nikt nie rozumiał moich postulatów.

Pomimo tego w roku 1912 udało mi się wydostać kilka substancji chemicznych z których jedną nazwałem "anti beri-beri witamina" t. j. witaminą, którą dziś nazywamy witaminą B1 albo thiaminą. Drugą z tych substancji, wydzielonych w czystym stanie, był kwas nikotynowy czyli witamina anty-pelagryczna lub niacina. W ten sposób została już przezemnie w roku 1912 wydzielona pierwsza krystaliczna witamina. Studja nad trzema izolowanemi substancjami krystalicznemi, wtedy otrzymanemi, wykazały też, iż obok witaminy B 1 i kwasu nikotynowego cały szereg innych substancji był potrzebny do utrzymania np. gołębia czy kury na białym ryżu. Studja te wykazały przedewszystkiem, że kwas nikotynowy jest biologicznie ważny do odżywiania; potrzeba tych wszystkich czynników razem dla zwierząt doprowadziła do odkrycia B-complex witaminowego, tak często dziś używanego.

— Czy Pan Doktor poraz pierwszy na świecie użył definicji "witamina" — to znaczy, czy nazwa ta pochodzi od Pana Doktora?

— Tak jest. W roku 1912 dałem wynalezionym przezemnie substancjom nazwę witamin t. j. substancji niezbędnych do odżywiania. Wprowadzenie tej nazwy nie było łatwe. Gdy umieszczałem tę nazwę w pracach eksperymentalnych — władze Instytutu Listera nazwę tę stale wykreślały. Dopiero w roku 1912 dr. Ludwik Reichman, Polak, późniejszy dyrektor Biura Medycznego Ligi Narodów, światowej sławy hygienista i założyciel Państwowego Zakładu Hygjeny — zwrócił się do mnie z prośbą o napisanie artykułu zbiorowego o moich pracach w tej dziedzinie. Ponieważ nie był to artykuł oryginalny lecz sprawozdanie z moich dotychczasowych prac — nie musiałem oddawać go do cenzury Instytutowi Listera i tak nazwa ta "przeszła" poraz pierwszy, figurując w poważnem piśmie "Journal of State Medicine". W artykule tym uważałem m. i., iż szkorbut jest spowodowany brakiem witaminy anty-szkorbutowej (obecna nazwa: witamina C), krzywica — brakiem witaminy D, pelagra — brakiem witaminy anti-pelagrycznej więc kwasu nikotynowego lub niacyny a choroby wywołane brakiem nowych czynników pokarmowych nazwałem "awitaminozami"; sugerowałem również, iż wiele innych chorób należy do tej grupy oraz, że witaminy będą odgrywały dużą rolę w przyszłości przy badaniu nowotworów, zwłaszcza nowotworów złośliwych. Większość moich "proroctw" okazała się już obecnie prawdziwa.

W roku 1913 podjąłem pierwsze kroki, idące w kierunku wyjaśnienia działania niektórych witamin. Stwierdziłem wówczas, iż jeżeli się zwiększa zawartość węglowodanów w jedzeniu — beri-beri występuje u zwierząt prędzej; podkreśliłem więc wyjątkowe funkcje witaminy B 1 przy zużytkowaniu węglowodanów i dalszy przebieg nauki w zupełności moją opinię potwierdził. W roku 1914 wyszła moja książka o witaminach jako reasumpcja dotychczasowych prac.

— Nad czem Pan Doktor obecnie pracuje?

— Pracuję badawczo na polu farmaceutycznym przy wypracowywaniu nowych leków, co oczywiście połączone jest ściśle z pracą naukową i laboratoryjną. W chwili obecnej zajmuje mnie zagadnienie odtruwania bardziej niebezpiecznych leków jak np. sulfa-drug'ów (zapomocą wyciągów wątrobianych), salwarsanu i innych, które niezależnie od ich własności leczniczych — wykazują czasami trujące własności.

Pracuję również nad rakiem, stwierdziwszy już w roku 1913, iż t. zw. "Rous' — sarcoma", złośliwy nowotwór u kur, nie daje się wprawdzie wyleczyć — lecz udaje się całkowicie zatrzymać jego wzrost. Pozatem pracuję nad hormonami.

Uściskałem dłoń dr. Funkowi dziękując mu za rozmowę, dumny z tego, iż przeprowadzić ją mogłem z wielkim uczonym — po polsku.

NABYWAJCIE PÓKI STARCZY NAKŁADU I ROZDAWAJCIE MIĘDZY WASZYCH PRZYJACIÓŁ AMERYKAŃSKICH

Numer 'Tygodnika Polskiego'

W JĘZYKU ANGIELSKIM

poświęcony Warszawie

16 stron druku, przeszło 60 ilustracji

Artykuły najwybitniejszych pisarzy polskich i deklaracje czołowych osobistości amerykańskich.

W POPRZEDNIM (46) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

PROSIMY UJRZEJMIE

O ODNOWIENIE PRENUMERATY

"TYGODNIKA POLSKIEGO"

ZYGMUNT STOJOWSKI

Koncert Wandy Landowskiej

Pisał niegdyś Liszt po koncercie Chopina w Paryżu, że całkiem niewspółmiernym wyrazem wdzięczności dla artysty są oklaski. Tak dziś odczuwamy, że nie wystarczą kwiaty — cóż dopiero retoryczne— słane pod stopy p. Landowskiej, gdy w tradycyjnych już pantofelkach kroczy po estradzie, przybrana w staromodną suknię z długim trenem, by przy świetle nie kinkietów lecz poufnaj lampy wywołać nie echa lecz samo życie dawnych czasów i mistrzów. Zasiadłszy przed podwójną klawiaturą, darem przenikania ducha czasów minionych wyczarowuje go z poniechanego instrumentu, objawia nam czystość sztuki co poszła w poniewierkę, choć jej zawsze łaknie świat!

Ocenę należytą tej sztuki napisać potrafiłaby chyba jaka inna Landowska — tylko że takiej niema... Bo przecież unikatem a poniekąd paradoksem jest pani Wanda. Jest osobą nowoczesną w znaczeniu specjalizacji, którą uprawiają nasze czasy. Ale specjalnością swą służy zapoznanym tradycjom i ideałom, których światło zagasło w duszach.. "Wrócić do Bacha"! wołają wprawdzie niektórzy, lecz kto dziś jak nieśmiertelny Kantor Lipski znaczy z głębi serca każdy twórczej myśli upust literami S. D. G. (Solo Deo Gloria)?

Odwagą i mądrością specjalizacji w kierunku swoich umiłowań wyróżnia się też Landowska wśród rzeszy wirtuozów, co hołdują nadal programom "tutti-frutti" jak je nazywał Antoni Rubinstein, a poklask galerji nieraz kupują sztuczek czy łamańców cyrkowych tandetą.

Zastrzegała się pewnego razu na łamach tego "Tygodnika" Landowska, że nie jest muzykologiem. Miano to jednak nie przynosi uszczerbku artystce i jest raczej hołdem dla głębokiej, skrzętnie nabytej wiedzy i gorliwego a rzadkiego wśród artystów trudu. Pamięta piszący, jak od lat młodych podziwiali muzycy, w Berlinie czy Paryżu, zarówno te sprawne paluszki, jak i otwartą głowę, umysł lotny a bystry, to jedyne "sui generis" zespolenie wiedzy i sztuki, co sprawiło, że można Landowską czytać jak się jej słucha, z pożytkiem i rozkoszą. Rozumna i dowcipna jej książka o starej muzyce jest niestety wyczerpana, natomiast daje nam dziś do każdego programu cenne swe uwagi, bo artystka włada piórem jak klawiaturą a językami obcymi jak własnym.

Przy zdolnościach literackich muzyka zostaje mową jej właściwą, mową uniwersalną a wykwintną, wymowną a przekonywującą w swej płynności i wyrazistości, bo z głębokiego umiłowania poczętą. Gdy nią przemawia stwarza atmosferę prawie religijną wśród publiczności w niej zasłuchanej, nietylko znawców czy uczniów we własnym do niedawna a zacisznym St. Leu, obrabowanym dziś przez barbarzyńców ze skarbów nagromadzonych, lecz — o dziwo! — w hałaśliwym, zadyszanym zawsze od pośpiechu New Yorku, który sama ocalona na szczęście, na nowo sobie zdobyła.

Jakby od modlitwy zaczął się też koncert ostatni. Uzupełniały się wzajemnie charakterem naiwnie pobożnym i kontemplacyjnie pastoralnym w swem "dur" i "moll" dwa "magnifikaty" starego Pachelbel'a, co był ojcem chrzestnym siostry Bacha a jednym z tych wzorów, które z rodzinnego albumu odpisywał ukradkiem młody Jan Sebastjan przy świetle księżyca.. Stanowiły one jakby przedsionek do wspaniałej katedry, jaką jest Toccata D-dur Bacha Dzieło to na organy pisane a wykonane na klawicymbale, dało niektórym pochop do niekoniecznie słusznych komentarzy. Nawykliśmy do fortepianowych transkrypcji, w których piętrzą się sztuczne i daleko od pierwowzoru odbiegające parafrazy, ozdobniki czy "ersatze", by użyć wyrazu który sam przez się jest ich potępieniem. Piszącemu zdało się, że lepiej od fortepianu z zastępstwa wywiązał się instrument Landowskiej, dzielący z organem możność rejestracji podwójnej klawiatury, przy swym kolorycie rzekomo monotonnym a istotnie bogatym i bez naruszenia wierności tekstu. Wszak starzy mistrze grali na obu instrumentach i nie było zrazu między nimi rozbratu, aż zwolna ustalił się odrębny dla każdego styl.

Niesłusznie też odmawia się "legata" temu instrumentowi, który, przynajmniej pod palcami Landowskiej, potrafi wiązać frazy, śpiewać i wzdychać w patetycznych recitativach romantycznego Bacha, jak również brzmieć i błyszczeć "w silnych muzykach" o których mówił syn jego Filip Emanuel. Uderzającą zaś jest w grze Landowskiej przewaga legata nad krótką w tonie perkusją, która w mniemaniu naszem raczej cechuje instrument. Wyznać też trzeba, że powrót do naszego zwykłego, choć doskonałego Steinway'a, ujawnił jakby jakąś powszedniość brzmienia fortepianu a harmonijne symetrje słodkiego Mozarta, względne ubóstwo po monumentalnej a fantastycznej architektonice barokowej wielkiego Bacha. Zadawał sobie piszący pytanie, dlaczego owo uprzywilejowane "legato" odebrało głównemu tematowi sonaty D-dur waściwy mu, jakby rogu myśliwskiego charakter? Niektórym zawodowo krytycznie usposobionym i męskim oczywiście słuchaczom brakło może chwilami, oprócz rogu, także wdzięcznej Zerliny cienia, co z za węgła rokokowych pałaców Mozartowskich wygląda...

Końcowy Scarlatti przy powrocie do klawicymbału, był znów uciechą niepodzielną. Dwie mało znane i dwie popularne sonaty, czyli "ćwiczenia" jak je sam bezpretensjonalnie nazywał długo zapoznany włoski mistrz, zwiastun nietylko Chopina i jego etiud, jak chce Landowska, ale zwłaszcza Ravela z jego błyskotliwą fantazją i humorem — lśniły się jak klejnoty różnowzorem bogactwem swych kamieni czyli po naszemu motywów a finezją i gustem oprawy, jaką było śliczne ujęcie przez Landowską. I wychodził muzyk z uczty dźwiękowej niezrównanego recitalu, jakby orzeźwiony powiewem z dalekiego lepszego świata niż nasz przyjemny współczesny, jakby przekonany dowodnie "laudator temporis acti". Byłoby to może niebezpieczeństwem, gdyby nie pociecha, niesiona na sztuki skrzydłach, wzmożonej wiary w nieśmiertelność.

KONFERENCJA HISTORYKÓW EUROPY ŚRODKOWO - EUROPEJSKIEJ

W dniach 29 i 30 października r. b. odbyła się w Nowym Jorku konferencja poświęcona historji Europy Środkowo-Wschodniej, w której wzięli udział liczni historycy europejscy i amerykańscy, pracujący w tej dziedzinie. Konferencja zorganizowana została staraniem Polskiego Instytutu Naukowego, który wystąpił z inicjatywą reaktywowania Federacji Towarzystw Historycznych Europy Wschodniej, założonej w r. 1927 z inicjatywy historyków polskich ale nieczynnej od czasu wojny. Inicjatywa ta powitana została przez uczestników konferencji bardzo przychylnie tak, że wznowienia działalności Federacji spodziewać się można w niedalekiej przyszłości.

Podczas konferencji odbyły się trzy zebrania, na których wygłoszono i przedyskutowano 12 referatów. Zebranie inauguracyjne, które odbyło się w pięknej auli Bibljoteki Morgana zgromadziło przeszło 70 osób. Przewodniczył Prof. Dr. Waldo G. Leland, Dyrektor American Council of Learned Societies i zarazem prezes Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych. Obrady zagaił prezes Polskiego Instytutu Naukowego, b. premjer R. P., J. Kucharzewski, wyjaśniając genezę konferencji oraz podkreślając znaczenie Europy Środkowo Wschodniej w dziejach nowoczesnych. Z kolei przemówienie powitalne wygłosił przewodniczący, Prof. Dr. Waldo G. Leland, wyrażając uznanie Instytutowi za zorganizowanie konferencji oraz życząc uczestnikom owocnych obrad. Następnie wygłoszone zostały trzy odczyty: Prof. Dr. J. Hanc z Czechosłowacji mówił o niektórych błędnych pojęciach na temat Europy Środkowo-Wschodniej, Prof. Dr. S. Harrison Thomson z University of Colorado — o stosunkach kulturalnych Czechosłowacji z Zachodem, zaś Prof. Dr. Oskar Halecki — o kulturze renesansu w Polsce i na Litwie.

Zebranie następne, które z powodu wczesnej pory zgromadziło mniej liczne audytorjum, odbyło się we wspaniałym gmachu nowojorskiego Towarzystwa Historycznego. Obradom przewodniczył Prof. Dr. S. Harrison Thomson, redaktor czasopisma "Journal of Central European Affairs". Zebranie poświęcone było zagadnieniom historjografji. Prof. Dr. O. Odlozilik z Uniwersytetu Praskiego omawiał rozwój historjografji czeskiej, Prof. Dr. M. Czubatyj z Grecko-Katolickiej Akademji Teologicznej we Lwowie — rozwój historjografji ukraińskiej, zaś pani A. P. Coleman, lektorka Uniwersytetu Columbia — problemy historjografji polskiej. Ponadto Prof. Dr. J. Roucek z Hofstra College wygłosił interesujący referat na temat błędnych poglądów na Europę Środkowo-Wschodnią, spotykanych w historjografji anglosaskiej.

Zebranie ostatnie, które zgromadziło ponad 50 osób, odbyło się w siedzibie Polskiego Instytutu Naukowego. Przewodniczył Prof. Dr. Otakar Odlozilik, wiceprezes Federacji Towarzystw Historycznych Europy Wschodniej. Wygłoszone zostały następujące referaty: p. K. R. Pusta, b. minister spraw zagranicznych Estonji mówił o odrodzeniu narodowem krajów bałtyckich w dziewiętnastym i dwudziestym wieku, ks. T. Chase — o stosunkach Litwy z Rusią i Rosją, p. B. Bogdanovich o zagadnieniach kulturalnych w dziejach Jugosławji, Prof. Dr. P. Charanis z Rutgers University — o źródłach greckich do historji XIV w., wreszcie Prof. Dr. H. Gregoire z Uniwersytetu w Brukseli — o zagadnieniu ciągłości w dziejach Rumunji. Po referatach odbyła się ciekawa dyskusja.

Wszystko razem złożyło się na wielki sukces konferencji, zapewniając jej bogaty plon naukowy, który zebrany będzie w specjalnej książce pamiątkowej przygotowanej do druku przez Polski Instytut Naukowy. Gruntownie opracowane były wykłady profesorów Thomsona, Odlozilika, Czubatego i Haleckiego. Do zagadnień współczesnych nawiązali w swoich odczytach profesorowie Hanc i Roucek. Wielkie zainteresowanie wśród słuchaczy wywołali profesorowie Gregoire i Charanis, mimo, że tematy ich referatów były bardzo specjalne. Nader interesujące również były odczyty p. Coleman, min. Pusty i p. Bogdanovicha.

Wszystkie zebrania cechowała atmosfera objektywizmu naukowego, zainteresowania oraz przyjaznej współpracy. Jedynym zgrzytem i to najzupełniej niespodziewanym był referat przedstawiciela Litwinów amerykańskich, ks. T. Chase, nasuwający poważne zastrzeżenia tak z punktu widzenia nauki jak i z punktu widzenia zwykłej kurtuazji międzynarodowej. Bardzo miłe natomiast tak dla gospodarzy, jak i dla wszystkich obecnych Polaków były serdeczne słowa pod adresem Polski i nauki polskiej, wypowiedziane przez naszych wypróbowanych przyjaciół. panią Coleman i Profesora Gregoire.

K. S.

BIAŁE SKRZYDŁA NAD CZARNYM LĄDEM

(OPOWIADANIE POLSKIEGO PILOTA TRANSPORTOWEGO)

— Praca? Jak praca, proszę Pani — zaważył melancholijnie mjr. pil. N.

— Pilotowało się samoloty z Gold Coast do Egiptu. Droga? Trochę długa, bo trzy dni w jedną stronę — lądując siedem razy. Start o brzasku. W nocy odpoczynek.

— Różnie bywało. Czasami należało dostarczyć samolot na linję frontu, czasami na Maltę. Nie pamiętam w tej chwili ani ilości godzin lotów ani ilości przelotów.— Wiem tylko, że było tego dużo i czasami było bardzo ciężko. Klimat i choroby dawały się bardzo we znaki. Mimo zastrzyków, otrzymanych w Anglji niemal 95% personelu chorowało na malarję i szereg innych podzwrotnikowych chorób. Niektórzy zapadali na tę samą chorobę po 3 - 4 razy. Wprawdzie wypadków legendarnej żółtej febry nie było ale za to czarna febra i śpiączka święciły swoje tryumfy. Niekiedy zdarzały się choroby wogóle nieznane medycynie. Naprzykład mnie się taka przydarzyła. Licho wie co to było. Podczas przelotu do Iraku zemdlałem. Potem — zapalenie opon mózgowych. Cztery miesiące w szpitalu — w tym czternaście dni bez przytomności. Sama jednak praca dawała dużo zadowolenia. A czasami zdarzały się momenty emocjonujące, czasami wzruszające, chwytające za serce.

— Pamiętam w październiku 1941 r. w drodze powrotnej do mojej bazy lądowałem w Stanleyville w Kongo Belgijskiem. I nie wierzyłem własnym oczom. Miasto było dekorowane polskiemi flagami obok brytyjskich i belgijskich. Wiedziałem, że Stanleyville przygotowuje sę do przyjęcia wojsk belgijskich, wracających z Abisynji. I oto przy tej okazji Belgowie chcieli dać wyraz swej sympatji dla Polaków.

Spałem snem sprawiedliwego, gdy obudziły mnie dźwięki marsza wojskowego. Byłem zaproszony na uroczystość. Ubrałem się szybko.

W czasie uroczystości mowa gubernatora poprzedzona była odegraniem hymnów narodowych — belgijskiego, brytyjskiego i.. polskiego przez orkiestrę murzyńskich dzieci szkolnych. Moje stare serce żołnierskie nie wytrzymało. Nerwy odmówiły posłuszeństwa. Łzy potoczyły się po twarzy. Wycofałem się "na tyły". Dziś jeszcze brzmią mi w uszach dźwięki hymnu, granego przez małe murzyniątka w tak niezwykłych okolicznościach tam, w sercu Afryki.

—W Kongo Belgijskiem zaznaliśmy wiele serca. Ta mała garstka — bo zaledwie 300 osób — białych wyczuła, czego brak nam najwięcej. Wytwarzała ona taką atmosferę serdeczności i bliskości, jakiej nie spotkałem nigdy w Afryce. To też przy każdej okazji pobytu korzystaliśmy z tego ciepła. Były to jednak chwile tylko. Nie zdążyliśmy się jeszcze niemi nacieszyć, kiedy już trzeba było wracać do codziennego, szarego i bardzo monotonnego życia. Gdyby nie latanie — to nie wiem.... ciągnął major..

— Teraz dopiero zdaje mi się, że rozumiem jak ciężko jest tym, którzy muszą tam pracować tylko na ziemi i w bardzo złych warunkach. Niektórzy z nich czasami wyrywali się na lot, jeden czy dwa. I tak, raz były dyrektor tramwajów lwowskich poleciał w mojej załodze jako nawigator. Przeżył on zresztą wtedy przygodę trochę nieprzyjemną..

— Nieszczęście chciało, że nad skalistą pustynią "zaniemówił" mi jeden silnik. Rozkaz: "Przygotować spadochrony". Wiedziałem, że skok w tym terenie — to śmierć. Robiłem więc co mogłem, aby gdzieś lądować. Myśl pracowała gorączkowo. Jeśli nawet tutaj mi się uda, to pogruchotamy sobie kości napewno. Nawet jeśli człowiek wyżyje, nie będzie mógł odbywać marszów, co w konsekwencji równa się śmierci z braku wody. Muszę się przyznać, że nie bardzo mi się to uśmiechało, więc dodałem gazu i prułem jak mogłem, tyle ile maszyna mogła wyciągnąć. Aby do Nilu. Tam już jest wszystko i woda i jedzenie. Aby prędzej — niecierpliwiłem się.

Jednak wyraźny pech nas prześladował, bowiem wkrótce drugi silnik również "nawalił". Zaczęło się wytrącanie wysokości. Byliśmy już jednak nad osiedlami ludzkiemi. Wreszcie—upragniony Nil. Wydawało się, że już, już usiądziemy. Ale to były tylko marzenia. Góry koło Luxoru. O przejściu ich nie było mowy. Znowu strata wysokości, tylko około 1,000 stóp. Pod nami teren falisty. Siadać? — pytałem siebie — kraksa pewna. A lotniska — jak nie widać — tak nie widać. Posadziłem mego "tramwajarza" przy sobie, załogę przygotowałem na najgorsze. Sam ciągnę dalej. Wreszcie zdala upragnione lotnisko. Uff! Odetchnąłem. Ale doleciałem tylko pod same lotnisko i zabrakło wysokości. Musiałem siadać. Chwała Bogu — szczęśliwie.

Potem trzydniowy pobyt w Luxorze. Usiłowania mechaników naprawienia silników ale bez pozytywnych rezultatów. Dalsza podróż już koleją. Znowu powrót i znowu konwój.. I tak wciąż....

Major zamyślł się. Po chwili ożywił się i tak ciągnie dalej opowiadanie swoje.

— Raz przytrafiła mi się przygoda trochę niesamowita. Zostanie mi chyba na całe życie w pamięci. Pierwszy raz widmo śmierci zajrzało mi bardzo zbliska w oczy.

Wyleciałem z lotniska w Chartum prowadząc duży konwój. Trąba piaskowa zmusiła nas do powrotu po niemal dwu godzinach lotu. Zgłosiłem się w dowództwie. Zameldowałem fatalne warunki atmosferyczne. Mimo to otrzymałem rozkaz powtórnego lotu. Zakląłem siarczyście. Jednak w sukurs mojej złości przyszła myśl, że widocznie maszyny na froncie są bardzo potrzebne i niema rady — należy położyć uszy po sobie i lecieć. Z lepszą już miną poszedłem do maszyny. Poleciałem z moim konwojem w komplecie 8-miu samolotów.

Piloci, pomimo jeszcze gorszej pogody, niż w poprzednim locie — spisywali się dzielnie. Lot możliwy był tylko na przyrządy. Próbuję przebić się w górę. Ale na wysokości około 14,000 stóp warunki pogorszyły się jeszcze bardziej. Czerwony deszcz, pomieszany z pyłem, zredukował widoczność prawie do zera. Zniżyliśmy lot. Przed nami majaczyły szczyty gór. Kręciliśmy się około 15 minut i wkońcu na "ślepo" wylądowaliśmy, na szczęście w pobliżu toru kolejowego ale za to w odległości kikuset mil od Nilu. Uczucie trochę niemiłe. Przezwyciężyliśmy je jednak, zabraliśmy z zabezpieczonych maszyn żywność i manierki z wodą i walcząc przez godzinę z szalejącym huraganem dobrnęliśmy, idąc wzdłuż toru, do najbliższej stacji kolejowej, skąd wysłaliśmy kablową prośbę o pomoc. Jednocześnie zawiadomiliśmy wszystkie pobliskie stacje, iż jedna z naszych maszyn zaginęła.

Na "naszej" stacji zatrzymaliśmy pociąg, który wcale nie miał zamiaru na niej stawać i po "ograbieniu" wozu restauracyjnego, próbowaliśmy nieco odpocząć. Obawa jednak o los naszego towarzysza nie pozwalała nam na to.

Tak minęło półtory godziny silnego napięcia nerwowego, ciągłego wsłuchiwania się w szum szalejącej burzy wreszcie, "stacja Mahomet" daje znać, że jakiś samolot nadlatuje w naszym kierunku. Rzeczywiście słychać po chwili wyraźny warkot silnika. Rozjaśniły się twarze ale na krótko, bowiem warkot zcichł i samolot odleciał... Po kilku minutach to samo. Samolot usiłował zdaje się siadać na torze, ale po kilku nieudanych próbach odleciał. Po chwili znów słychać motory i znowu łoskot ich oddala się.

Wreszcie, gdy straciliśmy już wiarę w ocalenie kolegi — "zbieg" nasz sam, we własnej osobie zjawił się na stacji. Nic nie wiedział, że my już jesteśmy tam oddawna, to też obustronna radość była wielka.

Na stacji musieliśmy jednak siedzieć cztery i pół dnia wyglądając jak zbawienia polepszenia się pogody. Zorganizowana własnym przemysłem kuchnia — już pierwszego dnia pod wieczór zaczęła sprawnie funkcjonować. Chmary muszek piaskowych i szarańczy asystowały nam przy zjadaniu osławionego corn-beef'u. Jednak nie psuło to nam wcale apetytu a wspaniała sypialnia zaimprowizowana pod gołem niebem — dopełniła całości naszego komfortu.

RAF w Wadi Halfa nie próżnował. Stacja lotnicza przysłała nam żywność, papierosy i przedewszystkiem benzynę. Uzupełniliśmy paliwo i czekaliśmy na koniec burzy.

Wreszcie, piątego dnia naszej przymusowej majówki — nastąpił w godzinach popołudniowych start do Wadi Halfa

W dwa dni po przybyciu, po przeglądzie maszyn, generalnem myciu, goleniu i innych zabiegach toaletowych wystartowaliśmy do Egiptu. Jednak już nie w pełnym składzie. Konwój nasz zmalał. Ludzie pochorowali się w tej drodze..

— Stara prawda — że jak człowiek musi, to jednak wszystko przetrzyma — zakończył major swoje opowiadanie.

Dziś mjr. N. nie może jeszcze latać. Chodzi o lasce, i po długiem leżeniu w szpitalu brak mu sił. Marzy jednak o powrocie do swojej dawnej funkcji ferry-pilota Jednak, tym razem wolałbym latać gdzieindziej....



Mjr. pil. N. — jeden z polskich "ferry-pilotów" w Afryce

OPINJE I ZDARZENIA

JAN KWAPIŃSKI W AMERYCE

Bawiący obecnie w Stanach jako pierwszy delegat Polski na Międzynarodowy Zjazd Pomocy, minister przemysłu i handlu oraz wicepremjer Jan Kwapiński jest jedną z najwybitniejszych postaci polskich walk o niepodległość i o prawa robotnicze. Nikt z żyjących Polaków nie ma za sobą tylu co on lat więzienia za te właśnie sprawy, najpierw carskiego, a później bolszewickiego, gdzie dzisiejszy minister Kwapiński przebył dwa lata między 1939-1941. W chwili gdy o prawa Polski toczy się znów walka, minister Kwapiński samą swą osobą i swą przeszłością mówi o istotnej prawdzie stosunków polsko-rosyjskich.

ROSJA I AMERYKA

W ostatnim numerze "Pour la Victoire" Henri de Kerillis rysuje szeroki obraz potencjalnych przeciwieństw rosyjsko-amerykańskich, niezależnych jego zdaniem od polityki rosyjskiej ale tkwiących w samej istocie interesów obu krajów.

Zdaniem p. de Kerillis'a Rosja nie może życzyć sobie szybkiego wzrostu Chin i dlatego nie jest zainteresowana jak Ameryka w szybkiej klęsce japońskiej. Co ciekawsze — p. de Kerillis, jak wiadomo namiętny i nieraz zaślepiony zwolennik wszelkich sojuszów z Rosją, przedstawia bardzo wymownie niebezpieczeństwo, jakie dla Ameryki musiałoby wyniknąć z opanowania Europy przez Rosję — jak się wyraża, z "rusyfikacji" Europy.

PO KONFERENCJI MOSKIEWSKIEJ

Były ambasador amerykański we Francji i Rosji, William C. Bullitt, wygłosił przemówienie w Peoria, Ill., w którym podkreślił, że rozmowy w Moskwie odbywały się bez udziału Europy, co doprowadzić może do nowych komplikacji.

Podział Europy na wpływy rosyjskie i angielskie, na obszary komunistyczne i kapitalistyczne, może wywołać rewolucje i kontrrewolucje, walki domowe w Europie i doprowadzić do wojny angielsko-rosyjskiej, do której ponownie zostaną wciągnięte Stany Zjednoczone. Bullit pochwalił coprawda pakt moskiewski jako wstęp do szeregu konstruktywnych możliwości, lecz równocześnie wskazał na niezwykły fakt, że w tych dyskusjach pokojowych państwa europejskie były nieobecne. Nadzieja ludzkości — zauważył — leży w sprzymierzeniu się wolnych narodów świata, a nie w podziale wpływów wielkich państw.

Komitet administracyjny "Catholic Welfare Conference", organu opinjodawczego katolickiej hierarchji w Stanach Zjednoczonych, oświadczył w specjalnie wydanej deklaracji, że konferencja moskiewska nie rozproszyła obaw, iż są na widoku kompromisy sprzeczne z ideałami Atlantic Charter. Konferencja Moskiewska niewątpliwie stwarza możliwości nieodzownej międzynarodowej współpracy w czasie wojny i pokoju. Pod tym względem stanowi ona zdecydowany krok w właściwym kierunku. Pewne jednak rzeczy, które ów dokument zawiera w swoich postanowieniach, a jeszcze bardziej znamiennie — które pomija milczeniem, pozostawiają uczucie niepokoju w umysłach, pragnących pokoju i sprawiedliwości dla wszystkich!

"TIME" O DZIECIACH POLSKICH

W związku z przejazdem przez Kalifornję w drodze do Meksyku grupy uchodźców polskich, wśród których była spora ilość dzieci, prasa amerykańska opublikowała szereg artykułów i fotografji. Tygodnik "Time" zamieścił również z tej okazji fotografję dzieci oraz artykuł w którym czytamy m. in.

W Kalifornji 727 Polaków odkryło szczęście i dowiedziało się, że dzieci potrafią się śmiać. Było poddostatkiem jedzenia, uprzejmości i mydła. 727 Polaków, znajdujących się pod opieką polskiego rządu na wygnaniu, zastało baraki w obozie Santa Anita zaśmiecone i poniszczone przez wściekłych Japończyków, którzy przebywali tam w drodze do miejsc zbiórkowych. Dla Polaków, uchodzących przed okropnościami od roku 1939, brudny obóz był wymarzonym zamkiem, pełnym technicznych cudów.

Będąc w drodze do przystani w Meksyku przez Rosję, Persję i Indje ludzie ci wciąż jeszcze mają strach w nerwach i przerażenie w sercu. Podczas pierwszego wieczoru nie zapalili ani jednego światła w barakach, zanim amerykański oficer po długich perswazjach nie przekonał ich, iż nie potrzebują przestrzegać black out'u. Naraz nad barakami ukazał się transportowiec linji lotniczej. Światła natychmiast zgasły, jakby ktoś przekręcił główny kontakt elektryczny. Polacy wyskoczyli z baraków, przerażeni że nie mogą znaleźć schronów.

Przez sześć dni byli gośćmi armji amerykańskiej w Kalifornji. Przeszo 300 dzieci w tej grupie pochłaniało wszystko co było do jedzenia, zachwycało się muzyką kapeli wojskowej i siedmioma filmami Walt Disney'a, otrzymało od dobrych ludzi w Los Angeles 300 par trzewików, salutowało z szacunkiem flagę Stanów Zjednoczonych.

Żołnierze, którzy w kantynie podawali do stołu uchódźcom, nie mieli kłopotu ze sprzątaniem. Polacy pławili się w orgji wody i mydła (1,600 kawałków mydła zużyto w czterech dniach), szorowali baraki, tak gorliwie że były czyste jak szpital i nie marnowali pokarmów.

O wschodzie słońca słuchali codziennie mszy świętej w cieniu drzew eukaliptusowych. Dla księdza (nikt z uchodźców nie posiadał więcej niż to co nosił na sobie) żołnierze wystarali się o szaty mszalne w Monrovia i Passadena.

Grupa wyjechała pełna snów o Ameryce i z jednym obywatelem amerykańskim — w Santa Anita urodziło się dziecko.

EDGAR MOWRER O POLSCE

W decydujących dniach listopada 1943, gdy wojska sowieckie zbliżają się do granic polskich i strusia polityka pewnych kół idzie w kierunku sztucznego przemilczania najżywotniejszych problemów narodu, który pierwszy podniósł broń przeciw wrogom demokracji podających sobie ręce na skrwawionej linji Ribbentrop-Mołotow—z uznaniem należy zanotować szczere i odważne postawienie sprawy polskiej przez ludzi, których cechuje umiłowanie prawdy i walka z modnym dziś oportunizmem politycznym.

Oto najważniejszy fragment z doskonałego artykułu znanego pisarza i publicysty amerykańskiego Edgara Ansela Mowrer'a w "New York Post" z dn. 13 listopada br.

Proposals for the renewal of diplomatic relations were made to the Russians by the Poles and by the British and American ambassadors in Moscow. But the Moscow Conference opened with no answers having been received.

As published, the Moscow Agreements made no mention of Poland. Therefore the actual visit of Benes to sign the treaty can indicate either that something has occurred to relax the Polish Russian tension or that hope of any real agreement has been relinquished.

For two reasons, this last would be tragic.

First, it cannot be overlooked that whereas the Esthonians, the Latvians and the Lithuanians were neutral in this war, and the Finns and Rumanians fought on the side of our enemies, the Poles were faithful and devoted allies. The President would seem bound to remind Stalin that the fifth freedom cannot be freedom to annex one's allies' territory, whatever the justification.

Second, it cannot be too heavily emphasized that entrance of Soviet troops into Poland before an agreement has been reached between the two governments might be a tragic catastrophe.

The well prepared Polish Underground will certainly rise against the Germans and take over the administration. Conflict between these Polish fighters and the victorious advancing Russians could only lead to complete chaos and further tragedy in Poland but would almost surely have repercussions in this country unfavorable to the Moscow Agreements and the future peace.

Co-operation between the Polish Underground and the Russians would materially hasten the German defeat. But such cooperation requires an understanding between the two governments."

FERMENTY IDEOWE W ANGLJI

Brytyjski sekretarz stanu Herbert Morrison wygłosił niedawno przemówienie na temat powojennej organizacji świata, które jest niezwykle znamienne, jeżeli chodzi o prądy idowe, które przenikają społeczeństwo angielskie.

Morrison żądał, by po wojnie na drodze międzynarodowej umowy ustalono jednakowy poziom zarobków wszystkich robotników świata. Propozycja jest tem bardziej frapująca, że wyszła z brytyjskich kół imperjalnych. Jej konsekwencje mogą być nieobliczalne. Projekt ten, w razie wprowadzenia go w życie, usunąłby przedewszystkiem z rynków międzynarodowych konkurencję tych krajów, które na skutek taniej robocizny poważnie zagrażały handlowi anglosaskiemu. Z drugiej strony, podnosząc stopę życia robotników krajów socjalnie zacofanych, równocześnie wprowadziłby jednolitą podstawę dla międzynarodowej wymiany handlowej. Ale i Wielka Brytanja musiałaby złożyć znaczne ofiary, gdyż wielka część jej handlu i przemysłu korzystała z taniej siły roboczej w kolonjach. Na tej właśnie taniej robociźnie było po części zbudowane bogactwo Wielkiej Brytanji.

POGŁOSKI NIEMIECKIE O HITLERZE

W Berlinie krążą pogłoski, że Hitler w najtragiczniejszej chwili swego narodu oddaje się trywjalnym rozrywkom, świadczącym o braku odpowiedzialności. Podobno jego współpracownicy godzinami czekają w przedpokoju na ważne decyzje, podczas gdy on rysuje plany architektoniczne powojennej odbudowy Hamburga. Większość swego czasu spędza w swym pałacu w Berchtesgarden na oglądaniu filmów. Nawet w jego opancerzonym pociągu jest specjalny oddział filmowy. Hitler przepada szczególnie za filmami amerykańskimi, a jego agenci konfiskują je we wszystkich krajach okupowanych. Niedawno skonfiskowali oni najnowsze filmy amerykańskie na szweckim statku Drottningholm, który wracał ze Szkocji, po odwiezieniu aljanckich jeńców, wypuszczonych przez Niemców w drodze wymiany. W ten sposób dostały się do Berchtesgarden Walt Disney'a "Bambi", "Crash Dive" z Tyrone Power, "Cairo" z Stroheimem i "Coney Island" z Betty Grable.

HENRYK SZERYNG W NOWYM JORKU

Przybył do Nowego Jorku i da w dniu 26 listopada swój recital w Carnegie Hall Henryk Szeryng, młody skrzypek polski, do niedawna "cudowne dziecko". Szeryng przybyył do Stanów po bardzo pomyślnej dla jego karjery, dwuletniej podróży artystycznej po Południowej Ameryce. W programie pierwszego koncertu Szerynga znajduje się m. in. Koncert Wieniawskiego i "Pieśń Roksany" Szymanowskiego.

BYŁO INACZEJ

T. Swann Harding zamieścił artykuł w "American Journal of Pharmacy", w którym prostuje szereg, powszechnie przyjętych, pomyłek historycznych. Między innemi stwierdza, że —

Edison nie wynalazł żarówki elektrycznej. W roku 1860 żarówkę skonstruował Anglik Sir Joseph Swan a więc 19 lat przed Edisonem. Żarówki te pod nazwą Swan Mazda są dotąd produkowane w Anglji.

Karol Darwin nie jest twórcą teorji ewolucji. Głosił ją poprzednia jego dziadek Erasmus Darwin, Francuz Jean Lemarck i filozofowie starogreccy.

Ameryakńscy lekarze George H. Whipple, George Minot i William P. Murphy, którzy w roku 1934 otrzymali nagrodę Nobla za wynalezienie kuracji wątrobianej na anemję — nie byli odkrywcami tej kuracji. Została ona odkryta na 20 lat przedtem przez Włochów Pietro Castellino i Alfonso Pirera.

Niemiec Teodor Schwann nie odkrył w roku 1839, jak to powszechnie się sądzi, komórki, podstawowej jednostki żywej materji. Odkrył ją na 200 lat przedtem brytyjski botanik Robert Hooke.

Lekarz angielski Edward Jenner nie wynalazł w roku 1796 szczepionki przeciw ospie. Na sto lat przedtem wynalazł ją Grek Timoni.

PROTESTY HUMANITARNE

Kiedy w czasie poprzedniej wojny Niemcy zburzyli katedrę w Reims — rozpisana została w krajach aljanckich ankieta między wybitnymi intelektulistami, których zapytano co sądzą o tem barbarzyństwie. — Bernard Shaw odpowiedział: "Trzeba się zdecydować: albo piękne wojny, albo piękne katedry".

BRYTYJCZYK ZGINĄŁ RATUJĄC POLAKA



Szeregowiec armji brytyjskiej James Francis Charles Fleming, kierowca w Royal Army Service Corps, został wzięty do niewoli przez Niemców w roku 1940 pod Boulogne, a następnie był przewieziony do obozu dla jeńców w Polsce.

Od tego czasu Fleming pędził smutne życie jeńca i pomiędzy swymi towarzyszami niedoli często spotykał Polaków, z którymi zadzierżgnął wiele węzłów przyjaźni. Wierności tej przyjaźni dowiódł dzielny żołnierz brytyjski w listopadzie 1942 roku, podczas prac przy budowie głębokiej studni. Jeden z jeńców polskich, pracujących razem z Flemingiem, został ciężko zatruty gazami i dymami. Na pomoc pośpieszył mu bez wahania Fleming ale rycerski swój czyn przypłacił życiem.

Wiadomość o bohaterskiej śmierci 23-letniego Fleminga dotarła do W. Brytanji i wywołała głębokie wrażenie wśród żołnierzy polskich. Minister Obrony Narodowej gen. Marjan Kukiel, pragnąc wyrazić w imieniu żołnierzy polskich hołd dzielności i powięceniu Brytyjczyka, ofiarował jego rodzicom, zamieszkałym w hrabstwie Middlesex, pamiątkowy zcgar wraz z plakietą, na której wyryto odpowiedni napis. Gen. Kukiel wystosował również list, w którym napisał m. in.:

"Be proud of your son. He died as nobly as any man in battle, and he is in line with the heroes of all ages."

W odpowiedzi, gen. Kukiel otrzymał od ojca zmarłego żołnierza list, niezwykle prosty a bardzo piękny.

"Żona moja i ja — pisze ojciec dzielnego Brytyjczyka — jesteśmy serdecznie wdzięczni za Pański uprzejmy list. Czujemy się naprawdę szczęśliwi na myśl, że czyn naszego syna przyczynił się w pewnym stopniu do wzmocnienia przyjaźni między obu naszymi narodami.

Pański piękny upominek będzie dla nas zawsze najdroższą pamiątką.

Mamy nadzieję, że przyjdzie dzień, gdy będziemy mogli odwiedzić Pańską Ojczyznę i zobaczyć miejsce wiecznego spoczynku naszego syna."

W małym domku w hrabstwie Middlesex, w mieszkaniu państwa Flemingów, stoi na kominku, na honorowem miejscu zegar — dar polskiego Ministra Obrony Narodowej. Pamiątkowa plakieta na tym zegarze mówi:

"In memory of the courageous and humane act of Private James Fleming who lost his life in trying to save a Polish Comrade. Poland November 21st 1942. Presented by the Polish Government in Great Britain."

LISTY DO REDAKCJI

Szanowna Redakcjo —

Przesłając zaległą prenumeratę pragnę wyrazić swoje uznanie dla wydawców "Tygodnika", który czytamy z wielkiem zainteresowaniem.

Żywię nadzieję, że i po wojnie, gdy Panowie wrócą do Polski kontakt nawiązany z Polonią tutaj nie zostanie przerwany i my nadal będziemy mogli oczekiwać z radością 'Tygodnik", nadsyłany nam z kraju, a Koło Pisarzy z Polski pozostanie w naszych wspomnieniach jako Ambasadorzy Kultury i Nauki polskiej na wygnaniu.

Aleksander Bruśnicki
655 Morgan Rd.
West Springfield, Mass.

* *

Szanowna Redakcjo —

Prosiłbym o jaknajwcześniejsze wysłanie najbliższego numeru Tygodnika. Jesteśmy coprawda karmieni codzienną prasą poską i chociaż jako ludzie w mundurach nie powinniśmy być zbyt wybredni jednakże chcielibyśmy sobie przypomnieć jak wygląda język polski. Na całe szczęście jakimś cudem wpadł w moje ręce jeden z numerów Tygodnika, wobec czego zgłaszam się — czekam cierpliwie i polecam się łaskawej pamięci.

W. M.
Malton, Canada.

* *

Szanowna Redakcjo —

Załączam przy niniejszym przekaz pocztowy na dalszą prenumeratę oraz korzystając z okazji, pozwalam sobie na wyrażenie mego uznania dla wszystkich tych, którzy swoją wolą i pracą stworzyli i utrzymują na tak wysokim poziomie tak wartościowe pismo, jakim jest "Tygodnik Polski".

S. Sznajder
Montreal, Canada.

* *

Szanowna Redakcjo —

Would you please send copies of your October 24th "Special issue devoted to Warsaw" to the following persons...

....The copy is beautifully edited and I wish to share the pleasure our family received from ours wth several of our friends.

H. P. Locke
Chicago, Ill.

* *

Szanowna Redakcjo —

Najserdeczniej gratuluję z powodu wspaniałego numeru, poświęconego Warszawie. Numer imponujący tak treścią jak zewnętrznym wyglądem, stanowi pierwszorzędny materjał propagandowy.

Dr. W. Łabuński
Kansas City, Missouri.

* *

Szanowna Redakcjo —

Jednocześnie korzystam z okazji, aby wyrazić Panom moje skromne uznanie i podziw dla pięknej szaty graficznej numeru "Warszawskiego". Zdaję sobie sprawę z napotkanych trudności i dlatego wydanie warszawskiego numeru jest znacznem osiągnięciem.

E M. Rosenstein
Montreal, Canada.

* *

Szanowna Redakcjo —

Specjalny numer Tygodnika, poświęcony Warszawie jest bardzo interesujący i na wysokim poziomie. Jako nauczycielka wyższej szkoły (High School) przy wykładaniu historji europejskiej umieściłam ten egzemplarz na tablicy biuletynowej. Młodzież gromadnie studjuje obrazki oraz opis pod nimi, poczem pada szereg pytań i nastaje ożywiona dyskusja.

Składam serdeczne dzięki Redakcji za wydanie tak wielce naukowego i pożytecznego pisma.

A. Krszewska
Jerse City, N. J.

* *

Gentlemen —

Received your October 24th issue, the one entirely devoted to Warsaw, and read it carefully from cover to cover, and I wish to add my most sincere congratulations for a wonderful idea executed in a most excellent and tasteful manner.

Needless to say that because it was written in the English language it was so much easier to read thereby leaving a permanent and an unforgetable imprint in the minds of the readers.

We, here in America, of Polish descent can read and understand Polish but it cannot be possibly compared to the impressions we receive and retain when we reread the articles in our native tongue.

This is not only my personal reaction for I have tried it with several people with your last October issue and I received the same answers from all to the extent that I wish you would send me four copies of your Issue No. 42-43-44, at twenty five cents per copy for distribution among them. An idea was received from one of them to mount these articles in a scrap book that we may have them permanently.

Many of the articles written in Polish are masterieces but translated into English and circulated around will do Poland no end of good in the least expected places.

Again extending my sincerest congratulations for your excellent work, I remain

Sincerely yours
Jadwiga Olszewska
Hamtramck, Mich.

* *

Szanowna Redakcjo:

Będąc u pp. B. w New Britain, Conn. miałam okazję przeczytania kilku numerów pisma wydawanego przez WPanów.

Jestem Polką ale urodziłam się i wychowałam się w Ameryce. Dotąd nie spotkałam pisma wydawanego w języku polskim w Ameryce o tak poważnej i bogatej treści.

Uprzejmie proszę WPanów o wpisanie mnie na listę abonentów załączając przy niniejszym opłatę czekiem na roczną prenumeratę. Czekam nadesłania mi pierwszego bieżącego numeru

Z poważaniem
Aurelia Kałamańska
New York, N. Y.

P. S. Wiersz Lechonia "Bajka o jednym chłopczyku i jednym lotniku" wzruszył mnie, gdyż byłam świadkiem bombardowania Warszawy, skąd wyjechałam w kwietniu 1940 r.

* *

Szanowna Redakcjo:

Przez przeszło trzy tygodnie otrzymuję "Tygodnik Polski". Brak mi poprostu słów na wyrażenie podzięki za przywilej, który mnie spotkał z dniem dostania numerów tego pisma. Będąc wychowanym w Polsce odczuwam brak tego, co polskie. "Tygodnik Polski" wypełnia po części te lukę lecz nie koniec na tem. Wielu Amerykanów pochodzenia polskiego ma możność czytania Tygodnika w polskim języku. Dzięki!

Z głębokim szacunkiem
Eugeniusz Kasztelanic
Fort Belvoir, Va.

INFLACJA W DURBANIE

Kontroler cen w Durbanie znalazł się w niezwykłym kłopocie. Problem był następujący: pewien Zulus, robotnik portowy, zawarł kontrakt iż za żonę zapłaci 88 dolarów i siedem krów. Po pewnym jednak czasiesie ojciec narzeczonej, powołując się na wzrost kosztów utrzymania, podwyższył cenę na 128 dolarów i osiem krów. Pokrzywdzony narzeczony zaapelował do kontrolera cen, prosząc o rozstrzygnięcie sporu. Brytyjski urzędnik uchylił się od wydania kłopotliwego wyrcku.

NA WYSPIE BEZLUDNEJ

Wielki pisarz angielski G. K. Chesterton posiadał niewiarogodną, błyskawicznie działającą przytomność umysłu, a więc cechę która jedyna właściwie zasługuje na miano dowcipu.

Jakiś reporter pragnął kiedyś wybadać, jaka jest jego najulubieńsza książka i swoje pytanie sformułował następująco:

— Gdyby pan znalazł się na dalekiej bezludnej wyspie, jaką książkę chciałby pan mieć przy sobie?

Na to Chesterton:

— Thomas'a "Praktyczne wskazówki budowania okrętu".

Z KRAJU KWITNĄCEJ WIŚNI

Kilka miesięcy przed Pearl Harbor, pewien dziennikarz amerykański, pisząc do przyjaciela, wyraził wątpliwość, czy list dojdzie, gdyż w Tokio coraz częściej się mówi o dyskretnej cenzurze listów, pisanych przez cudzoziemców. List nadszedł do Nowego Jorku z następującym dopiskiem urzędnika japońskiego wywiadu: "Nieprawda! U nas się listów nie przegląda".

WZOROWY MĄŻ I OJCIEC

Przed komisją poborową w Poinsett County, Ark. stanął pewien człowiek i zażądał zwolnienia z obowiązku wojskowego jako mąż i ojciec licznej rodziny. Na dowód przedstawił list żony:

Droga armjo Stanów Zjednoczonych. Mąż mój zażądał, abym napisała list z poparciem jego prośby i z zaświadczeniem, że utrzymuje swoją rodzinę. Mąż mój nie umie czytać, więc nic mu nie mówcie. On nie był dobry dla mnie. Nic nie robił, tylko awanturował się w domu, a ja musiałam utrzymywać siedmioro dzieci. Być może, że nada się do karabinu. Jest dobry w strzelaniu do wywiórek i ma apetyt. Weźcie go i powitajcie odpowiednio. Jego łóżko i miejsce przy stole jest mi potrzebne dla dzieci. Nic nie mówcie mu, lecz poprostu zabierzcie go.

Armja zastosowała się do prośby.

NIEMIECKA ZEMSTA

Dobrze poinformowane koła brytyjskie doszły do przeświadczenia, że Niemcy ustawiają na wybrzeżu francuskim dalekosiężne armaty z pociskami rakietowymi. Gdy Goebbels w jednem ze swoich ostatnich przemówień zapowiadał "straszliwą odpowiedź Niemców na aljanckie naloty" i twierdził, że "obawa przed niemiecką zemstą jak koszmar zawisła nad ludnością angielską" — brytyjskie pisma reagowały z ironją na te ciągłe zapowiedzi tajemniczych broni.

Jednakże brytyjski wywiad w krajach okupowanych potwierdził, że Niemcy ustawiają na pobrzeżu francuskiem jakieś nowe tapjemnicze armaty. Lud angielski przyjął te pogłoski z właściwą sobie flegmą.

POLITYCY FRANCUSCY W ALGIERZE

Do Algieru przybywa coraz więcej polityków francuskich, którzy wydobywają się z Francji. Między innymi udało się wydostać z Francji b. ministrowi finansów w gabinecie Bluma, Vincent Auriol. Krążą też pogłoski że przybyli Paul Boncour i Ivon Delbos, o którym niedawno mówiono że zmarł w więzieniu.

PLOTKI Z WASHINGTONU

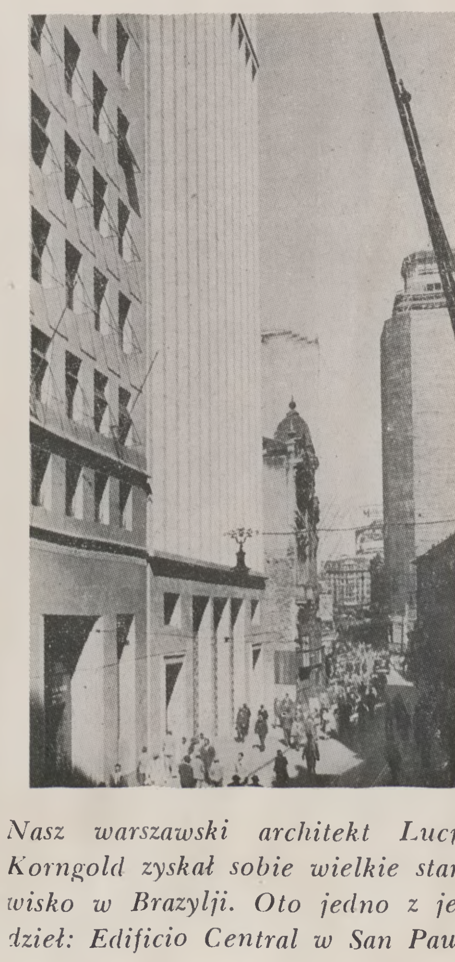
Właściciel farmy kurzej przez kilka dni studjuje nowe rozporządzenie OPA w związku z ustaleniem cen jaj, wreszcie telefonuje do odnośnego referenta w Washingtonie z prośbą o właściwą interpretację zawiłego okólnika. Wywiązuje się następująca rozmowa:

Farmer: Nie mogę zrozumieć ani słowa z tej instrukcji.

Urzędnik: Ja też nie.

Farmer: Przecież pan jest jej autorem!

Urzędnik: Tak — ale zostawiłem ją na biurku, gdy wychodziłem na śniadanie. — Miała dwie strony. Gdy wróciłem, wydział prawny dopisał mi do niej 33 strony wyjaśnień.



Nasz warszawski architekt Lucjan Korngold zyskał sobie wielkie stanowisko w Brazylji. Oto jedno z jego dzieł: Edificio Central w San Paulo.

"TYGODNIK POLSKI"
na stacji
WHOM
W KAŻDĄ SOBOTĘ
O GODZ. 5.00 — 5.15
odbywa się
AUDYCJA
Literacko-Artystyczna
z udziałem
ARTYSTÓW I PISARZY
zgrupowanych naokoło
"TYGODNIKA POLSKIEGO"

Otwarte od 11ej do 5ej godziny
cały tydzień oprócz soboty
DANUTA GOWNS
poleca
W WYBOROWYM GATUNKU
A TANIE:
POŃCZOCHY
BLUZKI
BIELIZNĘ
515 Madison Avenue
53 Street Entrance
Suite 1802 18th floor
Telefon PLaza 8-2466

KUPUJCIE ZNACZKI
i
BONDY WOJENNE
UNION PARTS MFG. CO., INC.
IGNACY, PAWEŁ i MIECZYSŁAW NURKIEWICZ, Właściciele
175 Ashland Place Brooklyn, N. Y.
Tel. TR 5-9811

FIVE DAY WONDER COURSE
Od poniedziałku do piątku — po dwie godziny dziennie. — Rano, popołudniu lub wieczorem. — Nauka pielęgnowania twarzy i ciała. — Jak się należy czesać. — Jak się ubierać, by wyglądać skromnie i elegancko.
Telefonujcie lub piszcie:
HELENA RUBINSTEIN
715 — 5ta AVENUE
New York City
Tel. Eldorado 5-2100

Wysiłek wszystkich lojalnych Amerykanów, niezależnie od ich pochodzenia, skierowany jest ku przyspieszeniu zwycięstwa Ameryki.
* * *
Tylko wspólnemi siłami przywrócony będzie trwały pokój na świecie.
* * *
W walce o lepsze jutro Stanów Zjednoczonych i Polski walczą Amerykanie polskiego pochodzenia.
* * *
Niesiemy im pomoc na froncie domowym — w naszych fabrykach i w naszem codziennem życiu.
* * *
ROBACZYNSKI
MACH. CORP.
OF AMERICA
326 TEN EYCK STREET
Brooklyn, N. Y.

POLISH WEEKLY
Editorial Office:
806 Lexington Avenue
New York City, 21
Tel. REgent 7-4168
Publishers:
Association of Writers from Poland
Editors:
Zenon Kosidowski
Jan Lechoń
Jerzy Tepa
Kazimierz Wierzyński
Subscription:
Monthly 40 cents
Half yearly — $2.40
Yearly — $4.50